DRUKARNIA MONOLIT
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
Warszawa, Elektoralna 3.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

DRUKI OBOWIĄZUJĄCE
Na wezwanie urzędowe, na mocy rozporządzenia Ministrów W. R., O. R. i Spraw Wewnętrznych z dn. 4 lipca 1927 r. (Dz. Ust. № 67 1927 poz. 595)

Nr. 9 — CENA 40 gr.

WARSZAWA
17-VI-1934 R.

WIR ŚWIATA
tygodniowa rewja prasy

DZIŚ W NUMERZE:

Na okres letnich wywczasów dla wygody naszych prenumeratorów wysyłamy nasze pismo pod każdy wskazany adres.

Prosimy o podanie każdej zmiany do administracji „WIR ŚWIATA", Niecała 3, tel. 233-19.

NIE PŁACĄ, NIE ROZBRAJAJĄ SIĘ

Anglja nie płaci Ameryce

Rząd brytyjski miał tylko dwie alternatywy do wyboru: albo zapłacić sumę 262 miljonów dolarów, albo zawiesić spłacanie długu i czekać na ostateczną rewizję układu.

Żałując głęboko, że okoliczności zmusiły go do powzięcia takiej decyzji, rząd brytyjski uświadamia sobie, że nie mógł wziąć na siebie odpowiedzialności za zastosowanie procederu, któryby wznowił całą zawikłaną sprawę międzyrządowych długów wojennych. Uiszczenie pełnej raty Stanom Zjednoczonym zmusiłoby rząd brytyjski do zażądania od swoich wierzycieli analogicznych spłat. Wytworzyłoby to nanowo warunki, jakie istniały przed kryzysem światowym, a które są zań w znacznej mierze odpowiedzialne. Takie postępowanie byłoby równoznaczne z rzuceniem bomby na europejską arenę polityczną i miałoby ogromne następstwa we wszystkich pięciu kontynentach, odsuwając odbudowę gospodarczą świata na przyszłość bardzo daleką.

Z noty angielskiej do St. Zjednoczonych

Na polu wyścigowem w Epson, podczas Derby, cyganki wróżą publiczności.



Cyganka — Kanclerz skarbu Chamberlain do wuja Sama: Fortuna uśmiecha się do Ciebie. Będziesz bardzo zamożny, tracąc wiele pieniędzy, któreby Ciebie zrujnowały.

„Daily Express", Londyn.

Koniec czy początek?

Nota angielska złożona w Białym Domu zamyka pewien okres. Długi wojenne Europy wobec Ameryki nie będą spłacane. Przynajmniej tak długo, jak długo trwać będzie obecna polityka gospodarcza Stanów, zamykająca drzwi dla towarów europejskich.

Ale czy nota angielska to jest koniec sprawy? Takby się zdawać mogło. Wielka Brytanja była tym krajem, który za wszelką cenę pragnął uniknąć znalezienia się „in the fault". A jednak Anglja też nie zapłaciła. Czyż więc sprawa nie jest wyczerpana.

Nie. Gdyż długi wojenne nie stanowią całości rozrachunku między Stanami Zjednoczonemi i Europą. Nawet po ich skreśleniu Stany nadal są wierzycielem — reszta świata dłużnikiem. Jeśli polityka gospodarcza Stanów nie ulegnie zmianie, jeśli nadal spłata towarami będzie uniemożliwiana, jeśli nadal skarbiec Stanów tworzyć będzie przepaść, w którą wrzucone raz złoto przepada dla obiegu międzynarodowego — to po sprawie długów wojennych może się zrodzić sprawa długów wobec Stanów wogóle.

„Gazeta Polska", Warszawa.

Jak byłoby najlepiej?

Kompromis, który umożliwił ocalenie konferencji rozbrojeniowej, i kontynuowanie działa organizacji pokoju, jest przedewszystkiem manifestacją przyjaźni angielsko-francuskiej, bez której takie rozwiązanie byłoby wogóle niemożliwe.

Rezolucja przyjęta przez komisję generalną stanowi przedewszystkiem doskonały punkt wyjścia dla zgodnej akcji brytyjsko-francuskiej w celu wzmocnienia pokoju.

Współpraca anglo-francuska zapowiada się jako bardziej aktywna i jest oczywiste, że bezpieczeństwo Anglji, bezpieczeństwo Francji — i bezpieczeństwo Europy zajmie w niej sporo miejsca. W dniu, kiedy będzie wiadome, że Anglja, nie tracąc nic ze swojej wolności, opowiedziała się po stronie tych narodów, które stałyby się ofiarą niesprowokowanego ataku, zagrażającego jej samej poprzez ruchomy mur oceanu, kiedy uda się zrealizować Locarno wschodnie, w którem Niemcy zajęłyby należne miejsce śród mocarstw Europy, będzie już dokonany istotny wysiłek w celu zagwarantowania pokoju.

„Le Temps", Paryż.

Odroczenie... klapy

Konferencję odroczono sine die, co nie oznacza formalnego zerwania, ale porzucenie wszystkiego, co w ostatnich miesiącach zrobiono. Rosyjski projekt zamiany konferencji na stałą Konferencję Pokoju odesłano uprzejmie do dalszego „starannego zbadania", a inne nowe plany paktów bezpieczeństwa pozostawiono rokowaniom poza konferencją. Mimo wspaniałego ducha pojednawczości, który umożliwił konferencji formalne utrzymanie się przy życiu, rzeczywiste zainteresowanie dotyczy na najbliższą przyszłość „rozmów prywatnych", i ponownego sprowadzenia Niemiec na konferencję, która przez to dopiero stałaby się czemś rzeczywistem.

Tymczasem perspektywa ponownego zebrania się konferencji z gotowym projektem ogólnej konwencji, jak to proponuje kompromis, musi się wydać bardzo mglista i niepewna. Rząd brytyjski będzie musiał poważnie zastanowić się, czy plan rozbudowy angielskiej floty powietrznej, o którym P. Baldwin niedawno powiedział, że jest gotów do zrealizowania, „gdyby godzina wybiła", nie był za długo odkładany na później.

„The Daily Telegraph", Londyn.

Dwa miljardy spłacono, a dług wzrósł

Oto jak wygląda sprawa długów wojennych między Anglją a Stanami Zjednoczonemi:

Stany Zjednoczone pożyczyły Anglji dolarów	4,277,000,000
Anglja spłaciła dotychczas	2,025,000,000
lecz Anglja wciąż jeszcze jest winna	4,713,000,000

W ten sposób narastające procenty sprawiły, że Anglicy są wciąż więcej winni niż pożyczyli, mimo że spłacili przeszło dwa miljardy dolarów.

„Daily Herald", Londyn.

KONFISKATA „WIRU ŚWIATA"

POPRZEDNI, 8 NUMER „WIRU ŚWIATA" ULEGŁ KONFISKACIE SPOWODU UMIESZCZENIA STRESZCZENIA PRZECIĘTNEGO NUMERU SOWIECKIEJ „PRAWDY". PONIEWAŻ DZIENNIK TEN NIE MA DEBITU W POLSCE, PODANIE PRZEDRUKÓW Z NIEGO POD FOTOGRAFJĄ NAGŁÓWKA „PRAWDY" UZNANO ZA PRZEKROCZENIE ZAKAZU.

W DZISIEJSZYM NUMERZE, KONTYNUUJĄC SERJĘ REPRODUKCYJ CHARAKTERYSTYCZNYCH DZIENNIKÓW POSZCZEGÓLNYCH KRAJÓW, UMIESZCZAMY STRESZCZENIE NUMERU BERLIŃSKIEGO DZIENNIKA „DER ANGRIFF", CZOŁOWEGO ORGANU NARODOWO - SOCJALISTYCZNEGO, REDAGOWANEGO DO NIEDAWNA PRZEZ MINISTRA PROPAGANDY DR. GOEBBELSA.

Zagadka genewska: jakie jest stanowisko Polski?

Polska a bezpieczeństwo

Niektóre dzienniki paryskie odniosły wrażenie, że Polska niedość silnie podziela francuską tezę o bezpieczeństwie jako warunku rozbrojenia. Jest to nieporozumienie. Niema różnicy co do zasad. Natomiast Polska nie może w żadnym wypadku krępować swobody taktyki politycznej swej sojuszniczki. Barthou, w przeprowadzonym z pełnią świetnego temperamentu głośnym pojedynku polemicznym z sir Johnem Simonem, miał na widoku sytuację polityczną danego momentu i rozgrywał ją po linji interesów Francji. Lecz już następnego dnia ogłosił z sir Johnem zapowiedź wymiany oficjalnych wizyt między Londynem a Paryżem, a dnia trzeciego zrezygnował z Zagłębia Saary, traktując to najmniej spodziewane w Berlinie ustępstwo, niewątpliwie jako platformę szerszego porozumienia francusko-niemieckiego.

Jest to taktyka tak błyskawiczna i tak pełna gwałtownych zakrętów, że nie można się do niej przyłączać bez ryzyka wykolejenia. Ma ona wszystkie cechy manewrów indywidualnych i taką musi pozostać. Błędem jest tedy mniemanie, iż z tego właśnie powodu cele polityki polskiej tracą na jasności.

W. Stpiczyński.
„Kurjer Poranny“, Warszawa.

Rozczarowanie Litwinowa i zastrzeżenie Polski

Czy porozumienie francusko-angielsko-amerykańskie wszystkim przypadło do smaku? Z przemówienia Litwinowa nie można odnieść takiego wrażenia. Można żywić podejrzenie, że w ramach jego obliczeń mieściło się oderwanie Francji od jej przyjaciół zachodnich. Z punktu widzenia tego porozumienia, zbliżenie francusko-sowieckie okazuje się w nieco wyraźniejszem oświetleniu.

Polska wyraziła swoją zgodę, zastrzegając się w sprawie procedury. Zastrzeżenie to dotyczy wzmianek rezolucji, odnoszących się do not wymienionych między mocarstwami poza konferencją. Nie jest to pierwsza inicjatywa polska tego rodzaju, wobec tego, że rząd Warszawy postanowił zwalczać systematycznie wszelkiego rodzaju metody dyplomatyczne ustanawiające rozróżnienie hierarchji śród narodów zainteresowanych w sprawie rozbrojenia.

„Le Matin“, Paryż.

Polska a teza francuska

Wymieniliśmy rządy, które działają po tej samej linji wytycznej co Francja; do tej grupy nie mogliśmy zaliczyć Polski.

Na Komisji Generalnej przemawiał pułkownik Beck, minister spraw zagranicznych Polski. Trudno określić znaczenie tego wystąpienia. Minister wygłosił kilka ogólnych zdań nie obowiązujących do niczego. Wystrzegał się słowa „bezpieczeństwo“. Uchodzi on też za przeciwnika zawierania paktów wzajemnej pomocy. Polska, obojętna na akcję zbiorową, mającą na celu wzmocnienie Europy, zbudowanej w r. 1919, w której odnalazła nareszcie swoje miejsce, co za paradoks! Nie da się długo utrzymać, — o tem jesteśmy przekonani. Jednakowoż to, że można było przyznawać się do tego choćby przez kilka dni, choćby tylko pośrednio, — już daje dużo do myślenia.

Przemówienie płk. Becka jest jeszcze jednym dowodem, że współpraca polsko-francuska, mimo wymiany zdań podczas pobytu min. Barthou w Warszawie, jeszcze nie została przywrócona. Nie brak i innych znaków nieprzychylnych. Rząd polski trwa uparcie w zatargu, jaki wywołał z rządem czeskim w sprawie mniejszości, uważając za nieistniejące dwa traktaty podpisane w r. 1925 w sprawie likwidowania zatargów między obydwoma państwami, z których jeden przewidywał zwrócenie się do komisji międzynarodowej, na której czele stoi p. Barrere, ambasador Francji, drugi zaś ustanawiał komisję parytatywną. W Bukareszcie jest jeszcze gorzej. Poselstwo polskie współpracuje z temi czynnikami, które starają się rozbić Małą Ententę.

Nikt nie ma zamiaru naruszać wolnego wyboru Polski, ani niezależności jej decyzji; niemniej jednak wolno zauważyć, że polityka, której jedynym celem, jak można się domyśleć, jest skierowanie pangermanizmu w kierunku Rosji i Dunaju, w zuchwałej nadziei, że terytorjum polskie będzie uszanowane, — nie da się, o ile tak dalej pójdzie, pogodzić z polityką rządu francuskiego.

Pertinax.
„Echo de Paris“, Paryż.

Na co liczy Polska?

Kiedy P. Beck, oficer sztabu generalnego marszałka Piłsudskiego, objął kierownictwo ministerstwa spraw zagranicznych, spodziewano się zmiany kierunku. Do owej chwili Polska była uważana za klientkę Francji; było to, powiadał P. Beck, stanowisko nie do utrzymania, jeżeli się uwzględni, że Polska ma 32 miljony ludności i przyrost naturalny 400.000 rocznie. Polska postanowiła odtąd usamodzielnić się zupełnie, albo przynajmniej zachować w pewnej mierze wolne ręce i nadać przymierzu polsko-francuskiemu takie oblicze, aby Polska występowała, jako zupełnie równa Francji.

Nam podają dwa wyjaśnienia sławnego paktu nieagresji między Polską a Niemcami. Polska, powiadają nam, potrzebuje dziesięciu lat, by nabrać sił, by osiągnąć 6 miljonów ludności, by naprawdę stać się wielkiem mocarstwem. Potrzebny jej jest pokój z Niemcami na ten okres. Wobec tego skieruje ona furję niemiecką przeciw Austrji, a nawet — dlaczego nie? — przeciw Francji. Jak długo w Berlinie będą myśleli o Saarze i o Anschluss'ie, nie będą myśleli o Gdańsku.

Co za świetna kalkulacja! Sprawa Saary będzie załatwiona w r. 1935, to znaczy w najbliższej przyszłości; przypuśćmy, że Niemcy spróbują uregulować sprawę Anschlussu nie drogą inwazji Austrji, lecz przez doprowadzenie do powstania rządu narodowo-socjalistycznego we Wiedniu, przez co Wiedeń stałby się alter ego Berlina, a ludność niemiecka podniosłaby się z 65 do 72 miljonów. Przypuśćmy, że w dwa trzy, cztery, pięć lat później uzbrojone i wzmocnione Niemcy będą chciały „uregulować“ sprawę Gdańska i Śląska. Czy Polska uważa, że będzie mogła liczyć na Czechosłowację, z którą zadziera, na Francję, którą usunęła nabok? I czy sądzi ona, że lotnictwo niemieckie nie zmiażdży jej w ciągu tygodnia? I nigdy Polska, naród rolniczy, którego możliwości przemysłowe nie sięgają dziesiątej części możliwości niemieckich, nie oprze się sama atakowi Niemiec.

Pierre Dominique, „La Republique“, Paryż.

Zwrot w polityce zagranicznej Polski

Przemówienie min. Becka w Genewie grzebie ostatecznie złudzenia, jakie usiłowano jeszcze podtrzymywać po podróży min. Barthou do Warszawy. Dotychczas prasa prawicowa tłumaczyła nową orjentację polskiej polityki zagranicznej błędami „Briandyzmu“. Otóż prawdą jest co następuje: przez długie lata stosunek Francji do Niemiec był podporządkowany zobowiązaniom wynikającym dla Francji z przymierza polsko-francuskiego. Jedynie aby nie zrazić sobie Polski, Francja unikała śmiałej polityki współpracy z Niemcami. Rezultat zaś jest taki: podczas gdy Francja, aby zachować przymierze z Polską, ograniczała swoje ustępstwa wobec Niemiec weimarskich, Polska pośpieszyła z zawarciem traktatu przyjaźni z Niemcami Hitlera.

Jeżeli w tej sprawie popełniono błędy, to polegają one raczej na zbyt wygórowanej cenie, jaką Francja zapłaciła za „tradycyjną przyjaźń“ z Polską. Piłsudski oddawna dążył do zbliżenia z Niemcami. Stresemann zostawił w swoich Zapiskach notatkę z dnia 28/VII, 1926, w której mówi o rozmowie z p. Diamandem, który go odwiedził z ramienia Piłsudskiego: „Pan Diamand podkreśla, że P. Piłsudskiemu bardzo zależy na poprawie stosunków polsko-niemieckich; że jest on zasadniczo przeciwnikiem Rosji“. (Stresemann, Papiers, II, str. 390). Stresemann pozostał wierny traktatowi zawartemu z Rosją w Rapallo, który to traktat zupełnie stracił wartość praktyczną w chwili, kiedy Hitler doszedł do władzy.

Trudno odróżnić, co w nowej orjentacji polskiej polityki jest wynikiem przedsiębiorczości „grupy pułkowników“, co zaś tylko korzystaniem z sytuacji Hitlera, który musi szukać na Wschodzie sukcesów i sprzymierzeńców, a co odpowiada planowi Piłsudskiego i jego grupy.

W każdym razie w danej chwili przyjaźń polsko-niemiecka przejawia się w sprawach małych i wielkich. Piłsudski i Hitler współpracują w Genewie, w Bukareszcie, w Pradze, przeciw Z. S. S. R., przeciw Francji, przeciw Czechosłowacji, przeciw Małej Entencie. Między Polską a Niemcami panuje obecnie atmosfera „entente cordiale“.

„Le Populaire“, Paryż.

Nie rozłazimy się pokłóceni

Konferencja nie mogła powiedzieć:

— Rozłazimy się pokłóceni.

Bo Niemcy tylko na to czekały, by móc jawnie obwieścić, że, skoro inne państwa stwierdziły rozbicie się narad rozbrojeniowych, one czują się zwolnione ze swych zobowiązań i będą się zbroiły wedle własnego uznania.

Konferencja nie mogła też powiedzieć:

— Bez Niemiec jesteśmy bezsilni, więc prosimy je, by zechciały łaskawie wrócić do Genewy.

Byłoby to takiem samem stwierdzeniem rozbicia z dodatkiem pokłonu w stronę Niemiec.

Konferencja mogła powiedzieć jedynie:

— Pracujemy dalej na podstawie wszystkich dotychczasowych danych i wyników. Szczególną wagę przywiązujemy w obecnym stanie rzeczy do rozwijających się już porozumień na rzecz wzmocnienia bezpieczeństwa. My zatem pracujemy dalej, a jeśli ubocze rozmowy przyczynią się do powrotu Niemiec na Konferencję, to tem lepiej.

St. Stroński, „A. B. C.“
Warszawa.

Wielki kapitał w blaszanych puszkach

Walka o królestwo cyny

Nocą, kapryśny płomień z nawozu lam i liści kaktusów, oświetlał maleńki obóz, rozbity na wysokości 13.000 stóp (3.900 metr) na zimnych, groźnych pustyniach And Boliwijskich. We dnie, bezdrzewna ta pustynia dudniła uderzeniami zgruba ciosanych kamiennych młotów: to smagli Boliwijczycy i garstka Indjan rozgrzewała się rozbijaniem skał. Poszukując drogocennego, błękitno-białego metalu zwanego cyną, znajdowali tylko ciemny, czerwonawy ił. Indjanie, którzy łakną alkoholu i liści „koki“, chcieli porzucić pracę. Pewnego dnia wyłupali kilka ziarnek cyny; potem odkryli całą żyłę. Boliwijczycy poszli po lamy, obładowali je rudą cynową i z trudem zeszli nadół do La Paz. Wkrótce potem cała Boliwja rozbrzmiała wieścią, że Simon Patino, niegdyś subjekt w sklepie kolonjalnym, stał się człowiekiem bogatym.

Działo się to w r. 1905. W rok potem zjawił się agent pewnej firmy St. Zjednoczonych, podobno — Gerggenheimów i zaproponował kupno kopalni Salvadora, którą Simon Patino nabył od pewnego poszukiwacza minerałów Portugalczyka, jako zapłatę za rachunek ze sklepu kolonjalnego. Interes ten przypłacił Patino utratą posady; chciał następnie sprzedać kopalnię „Salvadora“, sprzeciwiła się temu jednakże jego żona. „Albo zbankrutujemy“ wołała, albo będziesz *el gran Mirador*, największym z górników!“ Senor Patino wgramolił się na swego muła i wrócił do kopalni.

Dziś, sam jeden i w swem własnem imieniu *el gran Mirador* włada 10% wszechświatowej produkcji cyny. Wielokrotny miljoner, Simon Patino mieszka w wykwintnym, jak z bajki, pałacu w Paryżu. Wygrzewa się w swej willi, położonej wśród lasów sosnowych i drzew mimozy obok Nizzy. Syn jego jest mężem księżniczki Bourbon, a jedna z córek — żoną markiza hiszpańskiego. Podatek od jego kopalń w Boliwji stanowi główne źródło dochodów tego kraju.

W roku 1926 Boliwja wysłała go jako ambasadora do Francji, gdzie kupił sobie własną ambasadę.

Ale Senor Patino nie zadawala się swemi boliwijskiemi posiadłościami. Na półwyspie Malajskim znajdują się kopalnie cyny, produkujące więcej niż jego kopalnie; można tam produkować tańszą rudę niż w Andach. Przed dwoma laty dostał Patino dwie opcje na miljon akcyj „Brytyjskiej Spółki dla Handlu Cyną“, spółki akcyjnej. W ubiegłym tygodniu uzyskawszy zgodę swych akcjonarjuszy, wziął się do skupienia 860.000 akcyj, i otrzymał opcję na dalsze 298.000, za ogólną sumę 808.042 funtów. W ten sposób, znajdzie się w posiadaniu 33% akcyj i pełnej władzy w dziesięciu największych kopalniach cyny na półwyspie Malajskim o produkcji przypuszczalnie równej jego posiadłościom w Boliwji.

Produkcja

Szachownica kopalń cyny całego świata powinnaby mieć conajmniej sześć czworoboków — Półwysep Malajski, Boliwja, Wschodnie Indje Holenderskie, Nigerja, Sjam i Chiny. Wilhelmina, królowa Holandji, jest właścicielką kopalni holenderskich w Batawji, które, jako przedsiębiorstwa rządowe, produkują 15 do 20 procent wszechświatowej produkcji cyny. Państwo Malajskie produkuje około 30 procent przy udziale dwóch „królestw cyny“ — pierwszego, Anglo-Orjentalnej Kopalni, pozostającej pod zarządem anglika, nazwiskiem John H. C. Howeson, mającego 1 m. 80 wzrostu i udział w zyskach „British Tin Investment Corporation“; drugiego, pod zarządem trzech anglików, Mair'a, Thomas'a i Stephens'a. Nigerja, Sjam i Chiny produkują od 15 do 25 procent. Kopalnie cyny znajdują się również i w Australji, Hiszpanji i Japonji, nie mają jednak większego znaczenia. Znane kopalnie w Kornwalji, które po najściu Cezara na Brytanję wysyłały okrętami ładunki cyny do Włoch, — za panowania królowej Wiktorji zaczęły podupadać i w r. 1929 wyprodukowały tylko 3.000 tonn.

Cena

W r. 1926 cynę, której koszt w kopalni wynosił od 350 do 800 dolarów za tonnę, sprzedawano po 1.400 dolarów. Produkcja światowa wynosiła tego roku 143.580 tonn, konsumcja zaś światowa 133.362 tonny. W r. 1929 produkcja podskoczyła do 186.874 tonn, konsumcja jednak pozostawała wtyle, dochodząc do 165.900 tonn. Podczas gdy królowie cyny gromadzili wielkie nadwyżki, ceny jej zaczęły spadać. W r. 1930 wynosiły 550 dolarów za tonnę. „Tajkunowie“*) zwołali posiedzenie w Londynie, utworzyli kartel i komitet. Kartel zakupił nadwyżkę 21.000 tonn cyny; komitet ograniczył produkcję, początkowo do 145.000 tonn rocznie, później do 110.000. Celem jego było ustabilizowanie cen na minimum 600 dolarów za tonnę. W r. 1933 produkcja światowa spadła do 87.431 tonn, cena zaś w końcu roku podniosła się do 1.189 dolarów. Ostatnio, kiedy cena doszła do 1.248 dolarów, „Międzynarodowa Rada“ doniosła, że konsumcja do końca lutego 1934 roku spadła o 28 procent.

Konsumcja

St. Zjednoczone nie produkują cyny, zużywają natomiast połowę światowej produkcji. Cyny używa się przeważnie jako domieszki do innych metali. Zwykły metal do lutowania składa się z jednakowych części ołowiu i cyny. Miedź i cyna dają metal do wyrobu broni, dzwonów, metali Babbit'a**) (z antymonem) służących do panewek samochodowych i lokomotyw. Oprócz tego cyna służy do wielu jeszcze innych stopów. W czystej formie używana jest jako cynfolja, którą można rozbić do takiej cienkości, że z jednego funta da się otrzymać 18.500 cali kwadratowych cynfolji. W Stanach Zjednoczonych używa się cyny przeważnie i je dynie (46 procent) jako pokrycia puszek. Największy odbiorca cyny w St. Zjedn. „U. S. Stell“ zanurza okrągłe płyty stalowe w roztopioną cynę i sprzedaje je wytwórniom blaszanek i puszek. Zaledwie półtora procent blaszanki lub pudełka cynowego jest z cyny, roczna konsumcja cyny do wyrobu 12.000.000.000 blaszanych puszek utrzymuje się bez zmiany.

„Time“ Nowy Jork.

---

*) Tytuł wodza chińskiego w stosunkach z cudzoziemcami.

**) Stop cyny, cynku i miedzi.

NOWA STAWISKI'ADA?

Tajemniczy finansista pułkownik Norris

Tajemnica czy afera

Rewelacje, dotyczące angielskiego pułkownika Norris'a, który podróżował między Londynem, Paryżem, Berlinem i Budapesztem, oraz okoliczność, że władze sądowe francuskie i angielskie wydały rozkaz aresztowania go, zainteresowały opinję międzynarodową. Narazie jest już pewne, że szkody wyrządzone przez tego międzynarodowego kombinatora w rozmaitych ośrodkach finansowych przekraczają w znacznej mierze sumy początku przewidywane. Szkody angielskiej firmy Unilever (Fabryki mydła Sunlight), której wystąpienie puściło w ruch lawinę, wynoszą nie jak przypuszczano 3 miljony marek niem. lecz dwa razy tyle. Również Watykan poniósł szkodę na 17 miljonów marek. Ogólnej sumy szkód, wyrządzonych przez pułkownika Norrisa, jeszcze nie można nawet w przybliżeniu określić.

„Neues Wiener Journal" Wiedeń.

Zakup 10 miljardów papierów niemieckich.

Od kilku miesięcy mnóstwo agentów na giełdach Paryża, Londynu, Amsterdamu i Nowego Jorku, kupuje wyłącznie niemieckie papiery wartościowe wszelkiego rodzaju, akcje, obligacje miejskie, udziały banków i wogóle walutę niemiecką. Za te papiery agenci ci wypłacili tylko w ciągu ostatnich miesięcy 10 miljardów franków. Ogółem mieli oni zakupić za 50 miljardów. Kupowali zaś po cenach dobrych, owszem płacili do 20% ponad kurs oficjalny.

„Daily Mail".

Przyjaciel Francji?

Zdaniem wielu osobistości, pułkownik Norris, zdeklarowany przyjaciel Francji, jest ofiarą machinacyj inspirowanych przez pewne koła niemieckie, wrogo dlań usposobione.

„Petit Parisien".

...czy agent Niemiec?

Pułkownik Norris działa z ramienia rządu niemieckiego. Zakupuje on papiery niemieckie po 60% ich wartości nominalnej i sprzedaje w Berlinie po przymusowej cenie oficjalnej. W ten sposób rząd niemiecki zarobił 40% na każdej akcji i sprowadził spowrotem wszystkie swoje obligacje do Niemiec.

„La Liberte", Paryż

Proces płk. Norrisa z trustem Unilever

Oświadczenie Norrisa.

Jest mi tem trudniej zrozumieć skargę trustu Unilever, że nigdy osobiście nie zawierałem z nim żadnych tranzakcyj. Wielki bank w Amsterdamie miał pretensję do mnie i cedował je trustowi Unilever i stąd wynikła obecna sprawa.

Twierdzę, że nie można mi zarzucić żadnego oszustwa. Co się tyczy pogłosek, jakobym miał trudności w Niemczech, to przeczą im fakty. Niedawno byłem w Berlinie i nie miałem najmniejszej przykrości.

Na zapytanie, czy zamierza wkrótce udać się do Paryża, płk. Norris odpowiedział:

— Nie widzę potrzeby udawania się do Paryża, ponieważ mój adwokat poinformował mnie, że nie wydano przeciw mnie żadnego rozkazu aresztowania. W mojem imieniu Sir A. Baker wniósł skargę przeciw Unilever, a ja zamierzam energicznie ścigać dwóch agentów niemieckich, mieszkających w Paryżu, którzy przedtem usiłowali wymusić ode mnie pieniądze, a teraz spowodowali te machinacje, których stałem się ofiarą.

Oświadczenie Unilever.

Sekretarz Unilever Ltd. oświadczył:

Suma, o którą toczy się sprawa cywilna przeciw płk. Norrisowi, wynosi 3 miljony marek niemieckich. Sądzę, że jest ogólnie wiadome, iż my posiadamy w Niemczech duże sumy pieniędzy, zaś pułkownika Norrisa przedstawiono nam, jako człowieka, mającego specjalne pozwolenie na dokonanie transferu, drogą zupełnie legalną, za zgodą rządu niemieckiego.

Zawarliśmy z nim kilka tygodni temu umowę w sprawie przeliczenia naszych marek na inną walutę.

Ponieważ pieniądze nie wpłynęły w umówionym terminie, czekaliśmy przez pewien czas, a następnie wdrożyliśmy postępowanie sądowe w celu uzyskania sumy. Kilku naszych dyrektorów, udało się do Paryża, aby wnieść skargę.

„Le Journal" Paryż.

Groźby agentów hitlerowskich pod adresem pułkownika-bankiera.

Specjalni wysłannicy tajnej policji niemieckiej i agenci Reichsbanku pojawili się niedawno w Paryżu i usiłowali zatrzymać bieg interesów pułkownika Fr. Norris'a angielskiego bankiera-pułkownika, który wyspecjalizował się w „odmrażaniu" zamrożonych w Niemczech kredytów.

Jednemu z urzędników, obywatelowi niemieckiemu, zagrożono, że jego rodzice w Niemczech zostaną osadzeni w obozie koncentracyjnym, o ile on nie zdradzi tajemnic tranzakcyj swojego szefa. Tak oświadczyli paryscy przyjaciele płk. Norris'a, który ubiegłej nocy zbagatelizował pogłoski, jakoby on działał w porozumieniu z rządem niemieckim.

Prawdopodobnie rząd niemiecki przerażony jest jego działalnością, dzięki której udało się wierzycielom Niemiec wydostać znaczne sumy z inwestowanych w Niemczech kredytów.

Pan Pitavino, dyrektor Union Bancaire Continentale, paryskiego koncernu bankowego płk. Norris'a, udzielił przedstawicielowi, Daily Heraldu wyjaśnień w sprawie sporu pułkownika z firmą Unilever Ltd.

Paryskie władze sądowe zarządziły wstępne śledztwo na podstawie roszczeń Unilever i najbliższym krokiem może być zwrócenie się do pułkownika Norris'a, by on wyłożył swój punkt widzenia na tę sprawę. Pogłoski o ściganiu listami gończemi płk. Norrisa są nieprawdziwe.

„The Daily Herald" Londyn.

Zakulisowe sprawy i atmosfera tej gry

Po nieudałej londyńskiej misji Alfreda Rosenberga, doradcy Hitlera, zwrócił się długoletni przyjaciel ministra propagandy Dr. Hofman Burges, do Goebbelsa z nader ciekawą propozycją: Tłumaczył mu, że musi się coś przedsięwziąć, aby wywołać zwrot w opinji angielskiej na korzyść trzeciej Rzeszy i zwrócił mu uwagę na osobistość pułkownika Norris'a, który już przedtem był znany w Berlinie. Adwokat, a przytem specjalista w dziedzinie prawa międzynarodowego, a przedewszystkiem prawa finansowego, zajmował on wybitne stanowisko w sferach towarzyskich. Norris należał do bardzo ustosunkowanych prawników. Przez krótki czas był urzędnikiem Ministerstwa Poczty, a podczas wojny pełnił służbę w British Intelligence Service. Podczas Konferencji pokojowej w r. 1919 zaawansował na trzeciego oficjalnego rzeczoznawcę prawnego delegacji brytyjskiej, wreszcie został kierownikiem berlińskiego oddziału Międzysojuszniczej Wojskowej Komisji Kontrolnej, na której czele stał francuski generał Nollet.

W r. 1927, po zwinięciu tej instytucji, płk. Norris udaje się do Paryża i bierze udział w szeregu wielkich tranzakcyj finansowych. Człowiek, którego karjera i wpływy stanowiły podstawę jego tranzakcyj finansowych, był jakby stworzony na to, aby nieposzlakowane nazwisko, oddać na usługi interesów niemieckich.

W ten sposób grupa Norrisa otrzymuje, drogą pośrednią, pozwolenie na transfer zablokowanych marek w wysokości wielu miljonów. Zapewniono mu tą drogą zyski 35-40% wartości sum przewożonych. Chodziło o to, aby uwolnić kapitały zagraniczne, zamrożone w Niemczech spowodu ustawodawstwa dewizowego. Pewne papiery wartościowe, które zagranicą znacznie spadły, w Niemczech miały swój przymusowy oficjalny kurs. Różnicę tych kursów sięgającą do 40% mógł zarobić ten, przed którym otwierałyby się niemieckie safesy i komory celne. Otóż kiedy płk. Norris zdobył tę możliwość stał się panem rynków i nikt z nim nie mógł konkurować.

Partnerzy i kobiety.

Norris dobrał sobie partnerów (czy narzędzia?). Jednym z nich był gdański konsul Wreschinsky. Miał on przeszłość dość obciążoną. Sprzeniewierzył w swoim czasie, jako właściciel banku, depozyty swoich klientów, i siedział za to kilka miesięcy w więzieniu. Ma on jednak doświadczenie w sprawach, dotyczących niemieckiego rynku finansowego.

Dokoła pułkownika i jego konsula zgrupowały się całe rzesze ciurów, donosicieli i agentów. Byli śród nich międzynarodowi paskarze walutowi, prawnicy, którzy się nadawali do pewnych usług, roiło się od Niemców, stojących blisko trzeciej Rzeszy, i od bankierów, których zwabiły kursy płacone przez Norrisa. Nie brakło też kobiet. Tak n.p. płk. Norris rozwiódł się ze swoją żoną, aby ją uwolnić dla swojego przyjaciela. Pani Norris wkrótce stała się żoną konsula Wreschinsky'ego, zaś panna Berty Kapłan przyjaciółka Wreschinsky'ego, stała się przyjaciółką Norrisa.

Klientów wspólnicy szukali na całym świecie. Niedarmo Norris cieszył się zaufaniem największych potentatów finansowych. Niemieckie sfery rządowe udzielały o nim stale najlepszych informacyj, zaś okoliczność, że on jeden posiadał prawo na wywóz pieniędzy z Niemiec, czyniła go bezkonkurencyjnym panem rynku.

Jednym z jego klientów, był Watykan. Norris posiada w Paryżu własny bank „Union Bancaire Continentale", którego nominalnym dyrektorem jest p. Pitavino. Interesy rozwijały się świetnie, że sfery finansowe i bankowe na obu półkulach, które nic nie wiedziały o tem, że Berlin pomaga akcji pułkownika, zaniepokoiły się poważnie. Dwie okoliczności wskazywały na to, że cała ta afera doprowadzi do katastrofy. Tranzakcje pęczniały z miesiąca na miesiąc i stały się tak nienaturalnie wielkie, że przy monstrualnych obrotach nie można już było liczyć na normalną likwidację. Z drugiej strony było nie do pomyślenia, by rząd niemiecki tak lekkomyślnie popierał i udzielał zezwoleń transferowych w takich rozmiarach.



Schacht zaalarmowany.

Z początkiem roku 1934 p. Kern, przedstawiciel Schröderbank, jednego z największych przedsiębiorstw finansowych w Londynie, szczególnie tą sprawą zaniepokojonego odwiedził prezydenta Banku Rzeszy, Hjalmara Schachta. Schacht przyjął wysłannika banku londyńskiego i ten go poinformował o sytuacji. Sumy jakie mu wymieniono brzmiały tak awanturniczo, że prezydent banku Rzeszy zorjentował się, do czego ten skandal doprowadzi, jeżeli się akcji natychmiast nie ukróci.

„Pariser Tagesblatt" Pariz.

Sylwetka pułkownika Norrisa

Pułkownik Norris.

Tranzakcje pułkownika Norris'a wywołują coraz większą sensancję. Z berlińskich biur ministerjalnych płyną nieustannie zaprzeczenia i sprostowania, policja europejska poszukuje — albo udaje, że poszukuje — nawet bywalców giełdy na Wallstreet ogarnia pewne zdenerwowanie. Czyż należy się temu dziwić? Obroty angielskiego pułkownika sięgają pięciu miljardów franków — jest to suma przy której pomocy można zrujnować lub usanować państwo.

Interwencja angielskiego attaché.

Kilka godzin po wypuszczeniu listów gończych za pułkownikiem Norrisem, które były następstwem skargi wniesionej przez trust Unilever, sędziego śledczego, który tę sprawę rozpatrywał, odwiedził pewien dyskretny gentelman. Był to attaché angielski, który miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Wyraził on mianowicie życzenie, by list gończy zamieniono na zwyczajne wezwanie w celu przesłuchania. Równocześnie zauważył, że najprawdopodobniej chodzi tu o manewr wrogich sfer finansowych, i że rząd angielski bardzo niechętnie zgodziłby się na narażenie opinji człowieka nieposzlakowanego. Kiedy attaché opuścił sąd, sędzia natychmiast zamienił list gończy na zwyczajne wezwanie.

Jeżeli zachodziły pewne wątpliwości, wystarczyło tylko zasięgnąć informacyj. Jeżeli chodzi o rząd angielski, o Wallstreet, o Banque de France, to w tych sferach Norris zawsze uchodził za poważnego, pewnego i dysponującego niemożliwemi wprost koneksjami finansistę. Bank of England udzielał na wszystkie zapytywania, jak dalece płk. Norris zasługuje na kredyt, jednej tylko odpowiedzi: nieograniczony. Dziś istnieje może pięciu ludzi na całym świecie, o których wydanoby takie informacje.

Kto ukrywa się za oskarżeniem?

Teraz istnieją tylko dwie ewentualności: Albo Norris jest aferzystą, w porównaniu z którym Kreuger był tylko marnym sztubakiem, spekulantem o niebywałym dotychczas i wprost nieprawdopodobnym rozmachu, — albo też jest on poważnym finansistą za jakiego go sfery oficjalne dotychczas uważają. W każdym razie, czy Norris jest jednem czy drugiem, skarga przeciw niemu jest pozbawiona pewnej logiki wewnętrznej. Jeżeliby do niej zastosować klasyczną zasadę: cui prodest?*); otwierają się ogromnie ciekawe możliwości.

Do tych, którym najbardziej może zależeć na zatrzymaniu rozmachu tranzakcyj płk. Norrisa należy przedewszystkiem rząd i Bank Rzeszy. W ostatnich czasach dały one dość dowodów swojego zdenerwowania spowodu tej sprawy.

Czy jest to przypadkiem, że hałas dokoła Norrisa rozpoczyna się właśnie w chwili, kiedy konferencja transferowa kończy się bez rezultatów i bankructwo Rzeszy zostaje formalnie potwierdzone przez udzielenie jej moratorjum?

Udział rządu Rzeszy w oskarżeniu Norrisa jest w każdym razie pewny. P. Schacht ma jakieś anse do Norrisa. Przydaje mu się więc i oskarżenie trustu Unilever, albowiem jest ono w stanie zahamować na pewien czas interesy Norrisa.

Czy agentem hitlerowców?

Istnieją pewne ciemne typy, które usiłują urobić opinję, że Norris jest agentem narodowych socjalistów. Być może, że jest on nim w rzeczywistości. Źródła tej informacji są w każdym razie podejrzane. Są one mianowicie wysyłane bezpośrednio z berlińskiego ministerstwa propagandy. W takim razie denun-

*) Komu to jest pożyteczne?

(Dokończenie na str. 4)

Odrodzenie czerwonoskórych

W Stanach Zjednoczonych znajduje się dziś około 350.000 Idjan. Większość żyje w rezerwatach, przeważnie w Zachodnich Stanach. Utrzymują się głównie z hodowli bydła i z rolnictwa, uprawianego na małą skalę; niewielki odsetek zajmuje się leśnictwem. Na papierze wartość własności ziemskich Indjan oceniają na 1.500.000.000 dolarów; a jednak żyją oni w niewiarogodnem wprost ubóstwie.

Indjanie są obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki — stało się to dzięki umyślnej ustawie kongresu w 1924 roku, i miało być gestem wdzięczności za przysługę, wyświadczoną narodowi amerykańskiemu podczas Wojny Światowej. A mimo to, Indjanie, chociaż mają prawo do samorządu, przeważnie nie mogą zawierać umów, pożyczać pieniędzy, nie mają prawa mieć swoich adwokatów, odbierać swoich pieniędzy do rąk własnych, bez pozwolenia „Urzędu dla Spraw Indyjskich".

Indjanie nie mają żadnej władzy nad funduszami, należącemi do ich plemienia; nie mają kontroli nad „białymi" urzędnikami biur, które zarządzają dla nich temi funduszami. W ubiegłych latach budowano dla nich szkoły, niektóre nawet na wielką skalę; kierownictwo jednak i środki nauczania stały na takim poziomie, że ilość analfabetów wśród Indjan wynosi niemniej jak 30 procent. Śmiertelność wśród nich prawie dwukrotnie przewyższa ogólną śmiertelność wśród białych. Przedstawiają zatem zupełnie bezbronny materjał ludzki, zdany pod „opiekę" obecnego systemu na łaskę białego człowieka i jego rządu.

Administracja ziem Indyjskich opiera się na zasadzie działek, które skolei ma swoje źródło w idei „wybielania" Indjan. „Wybielanie" to przyjęło jednak formy destrukcyjne. System ten polegał na wydzielaniu każdemu mieszkańcowi rezerwatu (mężczyznom, kobietom i dzieciom) pewnego określonego obszaru ziemi. Ziemia ta przez pewien okres — zwykle dwudziestopięcioletni — znajdowała się pod protektoratem sekretarjatu dla spraw wewnętrznych. W tym czasie nie wolno jej było sprzedać, ani zaciągnąć na nią pożyczki; wolna była zato od podatków. Po upływie tego okresu — kończyła się jednakże opieka sekretarjatu. Ziemia stawała się własnością Indjanina, zupełnie tak, jak białego człowieka... Następnym krokiem była zwykle... utrata tej ziemi.

Stawało się to prawie niezmiennie, albo wskutek sprzedaży ziemi „za bezcen" jakiemuś spryciarzowi, albo też po śmierci właściciela; w tym ostatnim wypadku prawo o wydzielaniu ziemi prawie zawsze nakazywało sprzedaż.

W ten sposób, przy stosowaniu prawa o działkach — ziemie przeszły pomaleńku na własność białych.

Wskutek tego Indjanie stracili przeszło 90.000.000 akrów. Należy do nich dzisiaj równe 47.000.000 akrów, z których 20.000.000 stanowi pustynia.

Ale to jeszcze nie wszystko. Według prawa o podziale ziemi, jeśli Indjanin umiera — własność jego (o ile nie jest sprzedana) przechodzi na jego spadkobierców, a dochód (przeważnie renta) bywa między nich podzielony. W miarę jednak wzrastania liczby spadkobierców — powiększa się ilość działek — i, co za tem idzie, koszty administracji; zmniejsza się zato dochód każdego ze spadkobierców.

Powstaje pytanie, co wspólnego ma ten rabunkowy i niszczycielski system z „wybielaniem" czerwonoskórego? Tu zbliżamy się do zagadnienia rządu, wewnątrz plemienia — który, jak się okazuje, ściśle jest związany z teorją o podziale ziemi.

W odpowiedzi na to pytanie trzeba — na usprawiedliwienie dla twórców podziału roli — wyjaśnić, że, niwecząc dzierżawy plemienne, chcieli zniszczyć życie plemienne. Liczyli na to, że po zniknięciu tego tła plemiennego stanie się Indjanin automatycznie „białym" w skłonnościach, upodobaniach i zdolnościach.

Poprzestańmy na stwierdzeniu, że Indjanin nie stał się „białym" i, że złamanie jego dawnej, rasowej świadomości i solidarności plemiennej zdemoralizowało, oszołomiło i zniechęciło go jako człowieka — uczyniwszy go przytem biedakiem. Obalono i zdyskredytowano jego własne instytucje; nie pozostawiono mu, jako ludzkiej istocie, żadnej odpowiedzialności; długo rządziły nim władze autokratyczne z Waszyngtonu, wkraczające nawet w sferę jego osobistego życia.

Indjaninowi nie dano nigdy pola dla nabrania doświadczenia. Nie przygotowano go do korzystania z dobrodziejstw cywilizacji — a uczyniono wszystko, by wykorzenić zeń poczucie przynależności do własnej cywilizacji. Co więcej: systematycznie starano się pozbawić go wspomnień o tem, że posiadał kiedy cywilizację, czy też organizację społeczną, czy też — religię. Psychologicznie zaś — starano się uczynić go kaleką. Jeśli Indjanin nie uczynił postępów—



Szkoła rolnicza w rezerwacie indyjskim.

to dlatego, że wstrzymywano go od kroku naprzód.

* * *

System nauczania, stosowany dawniej w Stanach Zjednoczonych do Indjan opierał się na tej samej idei, co i podział ziemi: na złamaniu świadomości Indjanina w przekonaniu, że „biała świadomość" jakoś zajmie jej miejsce. W tym wypadku jednak dało się zastosować ten system w sposób bardziej bezpośredni.

Krótko mówiąc, system ten polegał na tem, aby oddzielić dziecko jaknajwcześniej (przeważnie w wieku 6 lat) od rodziców; wysyłano je więc do jakiejś odległej szkoły z internatem, gdzie poddawano je wszelkim wpływom białych nauczycieli; gdzie mówiło wyłącznie po angielsku; gdzie obcowało z dziećmi, zebranemi z najprzeróżniejszych środowisk i miejscowości; gdzie, jednem słowem, żyło jak roślina, wyrwana z korzeniem z gleby ojczystej. Tak przeszczepiane dzieci przeważnie rzadko, powiedzmy, raz na trzy lata, odwiedzały swe domy rodzinne.

Czyniono również zupełnie zdecydowane wysiłki zaszczepienia dzieciom pogardy dla sposobu życia ich rodziców. Dla podobnej krzywdy, wyrządzonej jednostce — niema żadnego wytłumaczenia. Trudno nazwać to postępowanie — chrześcijańskiem, a nie powinno się je nazywać — amerykańskiem.

O internatach dałoby się również powiedzieć, że z konwencjonalnego punktu widzenia o nauczaniu, stały bardzo nisko. Ani jeden nie zasługiwał na miano instytucji dla wyższego wyszkolenia, a mało było szkół, dających bodaj średnie wykształcenie. Nie przygotowywały dzieci do sposobu życia białych, a zupełnie oduczały je sposobu życia ich własnego narodu.

* * *

Wobec takich oto ważnych problematów staje dziś obecny „Zarząd dla Spraw Indyjskich". Co uczynił dotychczas? Dopiero pierwsze kroki.

W związku ze sprawami rolnemi — wydano tymczasowe zarządzenie zabraniające sprzedawania podziałów gruntu.

Jednocześnie z tem zarząd dla spraw rolnych postawił za warunek aby wszystkie prace — nadzorcze i uprawa ziemi — wykonywane były przez samych Indjan i aby rady plemienne współdziałały w tworzeniu planów, jakie mają być wykonane. Jaskrawym przykładem jest praca podjęta przez Indjan wespół z „Wydziałem Nawadniania Roli" w Rezerwacie Navajo. Pracują tu tysiące Indjan, majstrów, maszynistów, elektryków, urzędników i wykwalifikowanych robotników różnych stopni. Wynikiem tego projektu ma być ocalenie wielkiej połaci ziemi od obrócenia się w pustynię.

Ten, prawie przypadkowy dowód energji, ambicji i inteligencji Indjan w chwili ich największego męczeństwa — jest przekonywającą odpowiedzią na wszelkie wątpliwości, co do ich rasowych uzdolnień.

W sprawie nauczania rząd idzie po linji znoszenia szkół z internatami i zastępowania ich szkołami „dziennemi".

W szkołach tych pokładane są wielkie nadzieje. Byłoby pożądane, aby stały się ośrodkiem życia społecznego Indjan, ich sztuki, przemysłu i kultury, aby kierowały młodzieżą jak również i dziećmi. Jest nadzieja, że z czasem wykładać w nich będą również Indjanie. Internaty zaś powinny, w miarę możności zostać zamienione na instytucje wyższego nauczania.

Co pozostaje jeszcze do zrobienia? Zapewnić Indjaninowi prawa konstytucyjne obywatela amerykańskiego do własności ziemskiej, do pracy w handlu i do kształcenia się.

Pozatem w sprawach rządów wewnętrznych plemienia, zwrócić im przywileje i odpowiedzialność samorządu miejscowego.

Można mieć nadzieję, że z czasem będą mieli całkowity samorząd, że stopniowo przejmować będą funkcje „Urzędu dla Spraw Indjan", że zatrudnią urzędników Indjan i dadzą im pracę we wszystkich działach, teraz pozostających w olbrzymiej części w rękach białych.

Wszystko to brzmi prosto i rozsądnie, tragiczne jednak jest, że jest to zmiana historycznego systemu, stosowanego wobec Indjan na każdym kroku. Kto jednak może, patrząc na dzisiejsze warunki Indjan — dotkniętych ubóstwem, śmiertelnością przewyższającą podwójnie śmiertelność wśród białych; ograniczonych w kształceniu się i możliwościach, beznadziejnych, pozbawionych zaufania, — nie twierdzić że taka zmiana jest bardzo wskazana?

John Collier
„The New York Times Magazine"
Nowy Jork.



Młody Indjanin.

Roosevelt ma czas na rozrywki

Prezydent Roosevelt, nie bacząc na to, że obarczony jest prawie nadludzką pracą, rzadko kiedy spędza dzień bez rozrywki. Często zanurza się w basenie, ofiarowanym mu przez dziennikarzy. Lubi on ogromnie porę podpisywania bieżącej poczty. Zbierają się wtedy wokół niego wszyscy sekretarze i wszyscy bawią się znakomicie. Jeszcze innem źródłem zabawy prezydenta jest kino. Obrazy demonstrowane są dla niego w Białym Domu. Ma on szczególne upodobanie do filmów historycznych i do filmów, w których bierze udział marynarka. Również zbieranie marek pocztowych i przejażdżki łodzią po rzece Potomac są urozmaiceniem utrzymującem Roosevelta w dobrej formie.

„The American Observer" Waszyngton.

Sylwetka pułkownika Norrisa

(Dokończenie ze str. 3)

cjacja ta miałaby charakter aktu zemsty wobec agenta, który się sprzeniewierzył. To przypuszczenie, jest jednak dość nieprawdopodobne.

Jeżeli tedy Norris nie pracuje dla Niemiec, to pracuje on przeciw nim. Wtedy jego manipulacje przestają być interesem, spekulacją giełdową, sprawą procentów i prowizyj. Wtedy Niemcy stają wobec przeciwnika, nieuchwytnego, nieokreślonego, a potężnego. Nietylko prezydent Banku Rzeszy Schacht pyta dziś z zaniepokojeniem: W jaki sposób zostaną wykorzystane przeciw Niemcom te olbrzymie sumy niemieckich obligacyj pożyczkowych, akcyj przemysłowych i innych papierów wartościowych? Kto wygra ten atut? Jeżeli tak jest w rzeczywistości, niezależność gospodarstwa niemieckiego jest tylko fikcją. Przyjdzie kiedyś dzień, kiedy ktoś, kto dotychczas ukrywał się w cieniu, wystąpi i upomni się o swoje prawa. Czyż można sobie dokładnie wyobrazić, co oznacza taka możliwość w dzisiejszej niepewnej epoce?

Żadna hipoteza w tej zawikłanej i ciemnej sprawie nie doprowadzi do wyjaśnienia. Możemy się pocieszyć, że potentaci finansowi całego świata stoją również przed zagadką. W dwóch miejscach możnaby się czegoś jednak dowiedzieć, o Norrisie. Przedewszystkiem w Bank of England. Czy Norris nie jest wiernym poddanym swego króla? Czy nie jest on jednym z najpotężniejszych agentów Inteligence Service, tej tajemniczej i niezwyciężonej instytucji angielskiej władzy światowej?

Pozatem istnieje jeszcze ktoś: nowojorski Dom Bankowy Löb, Kuhn et C-ie, z którym Norris oddawna utrzymuje stosunki przyjacielskie i handlowe. Czyżby ta instytucja finansowa działała z polecenia tych, którym zależy, by Hitler nie urzeczywistnił fantazyj swojego „Mein Kampf".

Norris, który mógłby na wszystko udzielić odpowiedzi, milczy. Już kilka dni upłynęło od wydania sądowego wezwania, a on jeszcze nie stawił się. Miejsce jego pobytu jest nieznane, albo może władze wolą go nie znać. Jego piękna willa w pobliżu Pól Elizejskich stoi pusta. Tak samo jego apartamenty w Londynie. Jakich niespodzianek możemy się jeszcze po nim spodziewać?

„Neues Wiener Journal" Wiedeń.

HENRY de MONFREID

GAZELLA SUŁTANA

NOWELA

Stary Suliman Chamsan był najbogatszym człowiekiem w Yemenie, najmądrzejszym człowiekiem w Arabji i najbogobojniejszym człowiekiem całego Islamu.

Syn jego, Osman, jest młodym, dwudziestoletnim chłopcem, godnym swego ojca: pięknem swego pełnego męskości oblicza, wyniosłością swej postaci, jak również subtelnością umysłu i szlachetnością serca.

Powiadają, że Suliman był przyjacielem dzieciństwa starego sułtana, ojca imama Yaya, obecnego pana Yemen'u.

Wszyscy dziwili się, że w dniu objęcia władzy przez swego przyjaciela, Suliman schronił się w zaciszu swego domu w Kanka. Nie chciał stanąć u boku swego dawnego towarzysza zabaw, aby nie stać się ze zwykłego przyjaciela faworytem i doradcą.

Stary sułtan wzywał go kilkakrotnie; za każdym razem, jako posłuszny podwładny, Suliman udawał się na jego wezwanie do pałacu i udzielał mu najmędrszych rad; nigdy jednak nie przyjmował żadnych łask i nie dał się zatrzymać.

Po długoletniem panowaniu stary sułtan poczuł, jak śmierć krąży wokół jego tronu.

Suliman pośpieszył do swego towarzysza z lat dziecinnych, swego starego przyjaciela i stanął u jego wezgłowia, aby mu zamknąć powieki.

Według zwyczaju władzę przejął wezyr, albowiem syn zmarłego sułtana nie może panować po ojcu. Może objąć władzę dopiero ze śmiercią wezyra.

Syn ów, Yaya, był wesołym chłopcem w wieku Osmana. Często przyjeżdżał do Kanka, gdzie przebywał chętnie, rad ze swobody, zdala od etykiety dworskiej. Swą wielką prostotą, wrodzonym rozumem i dobrocią książę zjednywał sobie wszystkich. Wkrótce też głęboka przyjaźń złączyła obu młodzieńców.

Często, siedząc obok siebie na piasku nadmorskim, czytywali strofy Omara Kayam'a.

Pewnego dnia, kiedy tak tonęli w marzeniach, pokryty kurzem jeździec wypadł z gaju palmowego; rumak padł na ziemię zmordowany, a człowiek uderzył czołem przed młodym księciem, podając mu list.

Wezyr zmarł w nocy.

Yaya zatem stał się imamem...

Yaya czuł, że będzie musiał stanąć na niebezpiecznem boisku władzy, gdzie wszystko oznaczać będzie walkę; że będzie niewolnikiem, nie będzie należał do siebie. Jego beztroska wolność — słowem cała jego młodość — stanęły nad grobem.

Osman zaś czuł, że traci przyjaciela.

Uścisnęli się i nowy sułtan skoczył śmiało na konia, aby udać się tam, dokąd wzywał go los.

— Jeśli nie możesz jechać za mną dziś, rzekł, nie odwlekaj swego przyjazdu do Sana. Chcę mieć ciebie zawsze przy mym boku, o mój najdroższy przyjacielu! Niech dusza moja pozostanie na zawsze między mem sercem a tobą.

Gdyby Osman posłuchał głosu swego serca, byłby pojechał nazajutrz; ojciec jego jednak był już stary, a dobry syn zrozumiał, że obowiązek nakazuje mu zostać w Kanka.

Yaya znalazł się natychmiast w otoczeniu pochlebców — tej brudnej bandy która najczęściej prowadzi władców o słabym charakterze do zguby. Uniesiony falą trosk, spraw państwowych, wojen i intryg, wkrótce zapomniał o swym drogim przyjacielu z lat dziecinnych.

Stary Suliman, pełen pogody, spokoju i syt życia oczekiwał śmierci, nie myśląc o niej nigdy.

Pewnego dnia rzekł do Osmana:

— Synu mój, zostawię ci niedługo cały mój majątek. Przyda ci się na drodze twego życia, ale jeszcze więcej przydadzą ci się dwie rady, których chcę ci udzielić. Jeśli zastanowisz się nad niemi i jeśli potrafisz ich wysłuchać — usuną z twej drogi wielkie nieszczęścia, wobec których majątek jest bezsilny.

„Nigdy nie powierzaj swojej żonie żadnej tajemnicy, gdyż im poważniejsza będzie tajemnica, tem prędzej ona cię zdradzi. choćby za cenę twej czci i życia".

„Nigdy nie spoufalaj się z sułtanem, nie stawaj się jego powiernikiem, ani doradcą, albowiem przyjaźń jego jest krucha, jak straszny jest jego gniew — pomimo dobroci jego serca".

Pewnego wieczora Suliman poczuł ogarniające go bezbrzeżne znużenie i niezmierne pragnienie spoczynku.

Kazał się zanieść pod drzewa daktylowe, rosnące na skraju wybrzeża; posadził je własną ręką w dniach swego dzieciństwa.

Słońce zniknęło w morzu, niebo zapłonęło purpurowym blaskiem, a potem ciemne zasłony nocy rozpostarły się nad górami.

Starzec nie poruszał się. Dwie niewolnice u wezgłowia jego łoża śpiewały świeżemi głosami, nieświadome tego, co się działo...

* * *

Po śmierci ojca, Osman nie ociągał się już dłużej: uległ namowom sułtana, którego kochał zawsze jak za dni swej młodości. Pojechał do niego i stał się jego najukochańszym faworytem. Przez jakiś czas wahał się coprawda, zanim zdecydował się na zlekceważenie rozumnych rad ojca...

„Zapewne, myślał, ojciec miał słuszność; ja sam powiem to samo memu synowi; ten wypadek jest jednak szczególny, wyjątkowy..."

Osman sprzedał swoje mienie i okręty, aby dać sułtanowi Yaya złoto, konieczne do prowadzenia wojny. Dzięki niemu sułtan poskromił buntowników i rządził w całym blasku swej chwały. W nagrodę zaś podniósł swego przyjaciela do najwyższych godności, obsypując go co dnia nowemi darami i bogactwami.

Miasto Sana, stolica Yemenu.

Całe miasto rozbrzmiewa pochwałami na cześć doradcy, tak ukochanego przez władcę. Osman posiada tylko przyjaciół i często wyrzuca sam sobie, że niegdyś wątpił o najwyższych zaletach duszy ludzkiej.

Osman jest szczęśliwy, czując się kochanym, a serce jego pełne jest miłości dla całej ludzkości.

* * *

Sułtan Yaya miał gazellę, tak oswojoną, że jej głębokie spojrzenie zdawało się wyrażać myśli ludzkie; każdej chwili spodziewano się cudu — usłyszenia jej mowy.

Była to jednak zwykła sobie gazella, urodzona w samotności płaskowzgórz Yemenu. Hasała po ogrodach sułtana, z widocznym zachwytem przeglądała się w nieruchomych wodach basenów, a na zew swego pana przybiegała do niego w harmonijnych podskokach, jakgdyby unoszona niewidzialnemi skrzydłami.

Raz, dość późnym wieczorem, rozstawszy się z sułtanem, Osman zauważył gazellę w parku, skubiącą trawę przy blasku księżyca. Myśl nie oczekiwana, jak światło błyskawicy, ukazujące w mroku nocy góry i równiny — przebiegła mu przez głowę: czy to zwierzątko było równie bliskie, jak on, sercu jego przyjaciela?

Przypomniał sobie słowa swego ojca: „Nie spoufalaj się nigdy z sułtanem, albowiem przyjaźń jego jest krucha..."

Łagodnie popieścił gazellę a melancholijne myśli wzbierały w głębi jego serca — gdy nagle, jakby ulegając bezwiednie impulsowi, schwycił ją i zawinął w poły płaszcza.

Wyszedł, niespostrzeżony, z ogrodów i przybywszy do swego pałacu, ukrył zwierzę w oddalonym pokoju, gdzie nikt nie mógł podejrzewać jego obecności. Potem udał się na spoczynek i całą noc oddawał się rozmyślaniom.

Nazajutrz był dzień targowy; kazał kupić za sześć piastrów młodą gazellę, zupełnie podobną do tej, którą uprowadził poprzedniej nocy.

Służbie kazał ją poćwiartować i przygotować mięso na popołudniowy posiłek.

— Powiem ci pewną tajemnicę powiedział żonie, — tajemnicę, której powinnaś strzec aż do grobu, jeśli zależy ci na mej czci i na mem życiu. Czy mogę ci zaufać?

— O, mój przyjacielu, kobiety są tylko wtedy gadatliwe, kiedy chcą; zachowam sekret twój, jak najdrogocenniejszy skarb skąpca.

— A więc, posłuchaj, Halemo. Wczoraj, nie chcący zraniłem gazellę sułtana, mego pana. Aby uniknąć jego gniewu, dobiłem ją. Zjemy ją dzisiejszego ranka.

Zanim słońce dobiegło połowy swej drogi, heroldowie przebiegali przez miasto, zwiastując nowinę i obiecując majątek temu, kto odnajdzie gazellę sułtana.

Przyjaciółki przychodziły w odwiedziny do żony Osmana i mówiły o tej emocjonującej sprawie. Najdziwaczniejsze przypuszczenia krążyły z ust do ust; wszystkie udawały, że wiedzą coś o tem. Halema słuchała ich z wewnętrznym uśmiechem, ona jedna bowiem znała całkowitą prawdę. Jak dumna była z zachowania w tajemnicy tej nadzwyczajnej zagadki! Ale co za gorycz być uważaną za ignorantkę!..

— Ty, żyjąc w takiem odosobnieniu, nie możesz wiedzieć, i t. d.

— Nie, moja droga, zamilknij — odpowiadano, kiedy chciała przemówić, — jestem dobrze poinformowana, wierzaj mi, i t. d.

Było to nieznośne, ponad siły słabej kobiety... nie mogła się oprzeć. Rozkosz zdradzenia tajemnicy pozbawiła ją wszelkiej poczytalności.

W wielkim sekrecie, pod tysiącem przysiąg opowiedziała całą sprawę swej najlepszej przyjaciółce... a w godzinę potem sułtan wiedział już o wszystkiem.

W chwili kiedy małżonkowie kończyli posiłek, złożony z mięsa gazelli, przybył szambelan dworu.

Osmana wyprowadzono, otoczono żołnierzami pod bronią, wrzucono brutalnie do ciemnicy, gdzie więziono skazanych na śmierć.

Zapytany, wyznał na miejscu, że zabił gazellę przypadkowo. Wzamian chciał sułtanowi ofiarować inną; oswoiłaby się rownie szybko.

Ale sułtan, bardzo rozgniewany nie chciał nawet słyszeć o tem, tak potworna była zbrodnia.

Kazał zabrać całe mienie swego dawnego przyjaciela (wielu uważało wypadek z gazellą za doskonały pretekst do napełnienia kufrów władcy). Następnie rozkazał ściąć mu głowę, co kładło kres wszelkim późniejszym żądaniom.

Osman spokojnie przyjął tak okrutny wyrok; przyjaciele jego z podziwem patrzyli, jak szedł na stracenie bez najmniejszego niepokoju. Szedł uśmiechnięty i spokojny jak ktoś, kto jest pewien swej słuszności i kto ego nic nie może poruszyć.

Sułtan pragnął być obecny przy straceniu winnego. Siedział, otoczony dworzanami — dawnymi przyjaciółmi Osmana, którzy teraz najsilniej jątrzyli przeciwko niemu.

— Spójrz, panie, — mówili do sułtana, co za cynizm, co za zatwardziałość serca! Najmniejszych wyrzutów sumienia; jakgdyby cieszył się z tego, że obraził waszą Królewską Mość — swego przyjaciela i dobroczyńcę. Jest tak przewrotny, że nawet śmierć jest mu obojętna...

Tymczasem na widok tego człowieka, który miał umrzeć, wspomnienie o dawnym przyjacielu obudziło w sercu sułtana odrobinę litości.

Już miał wykonać wspaniałomyślny gest przebaczenia, gdy wtem intendent rzucił do stóp władcy nawpół-zwęgloną głowę gazelli, którą znalazł za domem Osmana.

Na ten widok wściekłość zdławiła w zarodku litość sułtana, który rozkazał katowi zająć się skazańcem.

— Dziękuję ci, Ali, — rzekł Osman do dawnego niewolnika, który wzbudził na nowo gniew władcy. Wiedz jednak, że oszukujesz swego pana, pragnąc mu się przypodobać: głowa ta nie należy do ukochanego zwierzęcia, które on dziś opłakuje; nawet moja haniebna śmierć nie może go pocieszyć.

„Weź ten klucz i niech nasz pan i władca raczy natychmiast posłać dwóch strażników do mego domu. W pokoju drugiego piętra, za komnatami kobiet znajdą całą skórę gazelli. Nie brak jej nawet jednego włoska. Proszę cię o to, jak o łaskę; ostatnią moją wolą jest w chwilę przed ścięciem uklęknąć przed tą skórą.

Kat był już gotów. Sprawdził palcem ostrze swego miecza; Osman zaś, bardzo spokojny, ukląkł i czekał.

Imam postanowił czekać powrotu posła; poto, by zawstydzić oszusta w razie jeśliby przyniesiona przezeń głowa nie okazała się głową prawdziwej gazelli, albo, by oskarżyć Osmana o nowe kłamstwo.

Nie czekał długo. Uwolniona gazella, szybka jak błyskawica, przedarła się w podskokach przez tłum i skoczyła na swego pana, pokrywając go pieszczotami.

Sułtan, oniemiały ze zdumienia, zrazu myślał że to cud. Uniesiony radością, rzucił się ku Osmanowi, uścisnął go i przytulił do piersi, zanim jeszcze kat zdążył zdjąć mu pęta z rąk.

Tego samego dnia postanowił Osman opuścić miasto.

Napróżno sułtan błagał go o wybaczenie mu jego niesłusznego gniewu, o to, by pozostał z nim i przyjął wspaniałe dary wzamian za wyrządzoną mu krzywdę.

— Nie, dziękuję. Żaden prezent nie może zastąpić wiernej przyjaźni. Pozwól mi wrócić do mego gaju palmowego w Kanka, gdzie zamieniliśmy ostatni pocałunek przyjaźni. Wymyśliłem tę historję, aby się dowiedzieć, czy znaczę dla ciebie więcej niż gazella za sześć piastrów... Będę żył zdala od ludzi i miast, wśród mych niewolników i stad, śród natury, hojnej, obojętnej i nie znającej nienawiści. O gdybym mógł, jak mój ojciec umrzeć w ciszy pięknego wieczora, nie przerywając śpiewu młodej niewolnicy."

„Candide" — Paris.

8. Jahrgang
Nr. 117

der Angriff
die nationalsozialistische Abendzeitung

22. Mai 1934
Dienstag

Wird Knox zurücktreten?

I strona Angriffu

Spekulacja węglowa kosztem 800.000 niemców

Nie trzeba się temu dziwić, że w angielskiej opinji publicznej coraz żywsze staje się życzenie, by rząd wycofał się zupełnie ze sprawy Saary. Francuskie intrygi zdążają przecież tylko do tego, aby połączyć ze sprawą Saary wszelkie inne sprawy i by z wypełnienia traktatu wersalskiego znowu zrobić interes dla własnej kieszeni.

Tymczasem niezainteresowane narody z trudem rozumieją tę całą wrzawę dokoła Saary. Widzą one i przyznają, że ludność Saary z wyjątkiem minimalnej mniejszości już praktycznie przeprowadziła plebiscyt przez wstąpienie do „Frontu niemieckiego".

* * *

Minister Rzeszy Dr. Goebbels objął protektorat nad XI wielką niemiecką wystawą radjową, która zostanie otwarta 17 sierpnia przy Kaiserdamm.

Gazety ze Szwajcarji

Codziennie można widzieć pewnych obywateli niemieckich ze szwajcarską gazetą pod pachą. Siedzą oni w kawiarniach, w biurach, albo w ukryciu po domach i czytają te pisma z zapałem sztubaka, który dorwał się do zakazanego owocu. Przedtem nie interesowali się oni nigdy opinją światową Bazylei, Zurychu lub Berna, tak samo jak nie interesowali się „dalekowzrocznością polityczną" Schveningen czy innej Morawskiej Tropawy. Teraz sądzą, że uda im się zapomocą lektury gazet szwajcarskich nawiązać kontakt ze sferami, które „mogą coś powiedzieć" o sprawach, o których właściwie nie należałoby wiedzieć.

Cudzoziemcy pytają, dlaczego te pisma w języku niemieckim, wystawione w niemieckich kioskach na wszystkich rogach ulic, mogą paplać to wszystko, co gazety niemieckie przemilczają. Dlaczego, pytają oni, nie odbiera się debitu tym gazetom szwajcarskim, które wykorzystują niemiecką dyscyplinę prasową?

Otóż sprawa gazet szwajcarskich ma specjalne znaczenie.

Te gazety szwajcarskie są pisane dla ludzi politycznie niedojrzałych.

Jeżeli się je czyta uważnie, widzi się, że ich materjał o Niemczech jest w każdym razie bardzo skąpy. Zdarzają się dni, kiedy muszą wyłowić jakieś podpalenie na Pomorzu, albo przedrukować przemówienie pastora z Holzminden nad Wezerą, albo zacytować też ulotkę katolickiego związku młodzieży z Samland, aby wogóle jakąś nowinę móc podać. Ich agenci żyją z niedyskrecji, ale ta niedyskrecja ogranicza się jednak tylko do tego, co przez dziurkę od klucza zobaczyć i usłyszeć można, i dlatego te wszystkie wiadomości są zgóry tak obciążone czynnikiem spekulatywnym, że mogą raczej służyć politycznej astrologji, niż politycznemu zmysłowi rzeczywistości.

Jest to prasa politycznie niedojrzałych. W Niemczech czytają ją tylko ci, którzy duchowo już są emigrantami, i którzy chętnieby wywędrowali w rzeczywistości, gdyby gdzieindziej sposobność do robienia dobrych interesów się nadarzyła. Prasę tę czyta opozycja już martwa. Dlatego należy te dzienniki zaliczyć do prasy emigranckiej. Służą one wyłącznie do uprzyjemnienia czasu niedoszłym emigrantom. Dziś, jutro i pojutrze szwajcarska prasa polityczna będzie w Niemczech tylko polityczną łakocią dla pana Salomonsohna, który kupuje sobie tego rodzaju gazetę na Kurfürstendamm, by przez nią znaleźć ujście dla swoich smętnych uczuć.

W całej Austrji wre

Zamachy na koleje — Bunty w korpusie granicznym

W niezliczonych miejscach w Austrji dokonano zamachów na Koleje Związkowe, wysadzając zupełnie albo tylko częściowo tory i szyny. Szkody są znaczne, ofiar w ludziach nie było.

Podjęto wielką akcję przeciw byłym członkom niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej w Wels, Gmunden, Bad Ischl i Ebensee. Dokonano kilkuset aresztowań. U narodowo usposobionej części ludności te środki teroru stosowane przez system obecny wywołały silne rozgoryczenie.

Ale to zaostrzenie się walki wewnętrzno-politycznej spowodowało tylko pomnożenie się dowodów narodowego obudzenia się Austrji.

54 towarzyszy ze służby pracy uległo nieszczęśliwemu wypadkowi

W niedzielę Zielonych Świątek o 11-tej przed południem uległ nieszczęśliwemu wypadkowi samochód z przyczepą, w którym znajdowało się 54 ochotników z obozu pracy w Sprottau, udających się do Bad Flinsberg.

Najprawdopodobniej spowodu nadmiernej szybkości kierowca na bardzo stromej drodze stracił panowanie nad wozem, samochód się wywrócił a przyczepa oderwała się. Wszyscy pasażerowie wypadli z wozu i odnieśli obrażenia. Jeden zmarł na miejscu, dwóch zmarło zaraz po odstawieniu do szpitala w Hirschberg, 3 odniosło poważne rany. Dwóch ciężko rannych walczy jeszcze ze śmiercią. Wszystkie ofiary tej katastrofy przewieziono do szpitala w Hirschberg.

II—III strony Angriffu

Ci, którzy muszą milczeć wśród upojenia radości

Niemcy zagraniczni na odcinku frontowym Trewir

Zagraniczne damy o jaskrawie czerwonych ustach uśmiechały się żartobliwie. Siedziały w swoich francuskich czy też luksemburskich autach; przypadek, albo zamiar sprowadziły je tego dnia do Trewiru. Młodzież maszerowała przez ulice, biła w swoje wielkie bębny i nie troszczyła się o auta, ani o ich pasażerów. Groźne dudnienie rozbrzmiewało przez cały dzień, młodzież maszerowała obok głazów „Porta Nigra", poważnie i groźnie wznosiła się brama, opromieniona blaskiem słońca: wielka przeszłość historyczna pozdrawiała większą przyszłość.

Ulice Trewiru przedstawiały w te dni zjazdu Niemców zagranicznych niebywały obraz. Nietylko mundury „Młodzieży hitlerowskiej", „Służby pracy", Oddziałów szturmowych, ubiory dziewcząt, które ze wszystkich części kraju tu się zebrały, jaśniały świeżo jak życie kwitnące. Wszystko, co się jeszcze utrzymało z tradycji plemiennej i ludowej Niemiec znalazło się w Trewirze.

O północy brzegi Mozeli przedstawiały obraz prawdziwie fantastyczny. Z ciemności, w której raczej przeczuwać niż widzieć można było góry z przeciwległego brzegu, wyłonił się nagle blask, który coraz bardziej potężniał, oblekając miasto i okolicę w lśniącą jasność, salwy grzmiały, brzeg płonął światłem czerwonem aż pod same szczyty gór. Było to niezapomniane zakończenie tego dnia, kiedy raz po raz białe domy zarysowywały się na tle ciemnej zieleni lasu, a odbicie tego nieprawdopodobnie pięknego widowiska załamywało się, tysiąckrotnie powielone w falach Mozeli. Rakieta pęka, rozlega się grzmot i huk, że aż pasażerów tramwaju ogarnia chwilowy lęk.

Tylko konduktor myśli sobie niewzruszony: No, no! To chyba Francuzi też posłyszą.

Niemcy z zagranicy zjechali się nader licznie, ale kto ich nie znał, kto o nich nie wiedział, ten ich nie widział. Przeszli granicę, przez długie dni byli w podróży, przygnębieni, śledzeni. Teraz kroczyli oni milczący przez ulice, niemi w tej radości, jaka ich otaczała. Żadnych odznak, żadnych sztandarów, ani żadnych transparentów nie pokazywali. Nikt nie powinien wiedzieć, że oni tu byli. Zawiele ryzykowali, gdyby ich poznano. Byli tedy znajomi i towarzysze walki z jednej i tej samej miejscowości. Jeżeli spotykali się tu na ulicach Trewiru, nie znali się. Nieznani żołnierze naszej niemieckości zagranicznej, nie witali się, nie widzieli się wzajemnie. Tylko nieme skinienie wzrokiem: „Ach, i ty tu jesteś? A jak przedostaniesz się przez granicę? Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze!" Milczące cierpienie, najbardziej wstrząsające przeżycie tego dnia.

OSTATNI PRZYCZÓŁEK MOSTOWY

Traben-Trarbach, 22 maja.

Dziś odbyło się w cytadeli Mont Royal, oddalonej o godzinę drogi od Traben-Trarbach, zakończenie zjazdu Niemców Zagranicznych. Na olbrzymiej wyżynie, wcinającej się głęboko w obu brzegi Mozeli, zebrała się jeszcze młodzież Zw. Niem. Zagr. wraz ze swoimi przywódcami. Cytadela Mont Royal była zbudowana przez Ludwika XIV, jako francuska placówka obronna i miejsce wypadu na nizinę reńską. Dzisiaj jest ona ruiną, i dziś młodzież niemiecka przechadza się po jej polach, przechodzi przez jej olbrzymie sklepione piwnice i podziwia dzieło genjalnego budowniczego.

Tu skąd rozlega się daleko widok na ziemie niemieckie, oczekiwała ludność Traben-Trarbach, Oddziały szturmowe, delegacje wieśniaków i Stowarzyszenia śpiewacze okolicy, nadchodzącą młodzież. Bandera konna utrzymywała porządek. Na olbrzymim bloku skalnym powiewał sztandar trzeciej Rzeszy chorągiew z napisem „Niemiecka jest Saara". Podczas gdy młodzież jeszcze ze wszystkich stron napływa rozlega się marsz Badenweilerowski i kierownik Zw. Niem. Zagr. Steinacher otwiera zebranie. Mówi on o walce o niemiecki Zachód, o losie oderwanej połaci kraju i niedoli, która sprowadziła tu nad granicę, na ostatni przyczółek mostu, na lewym brzegu Renu, młodzież niemiecką. Po nim przemawiał Dr. Spiess o znaczeniu twierdzy, a potem radny miasta von Lüninck-Koblenz.

Posłanie i rozkaz

Wy bracia i siostry
Minęło już wczoraj,
Już stało się łupem
Grzmiącego dziś,
I ludzi przyszłości
I tych, którzy walczą
Zdobyczą już jest.

Nie gwarzyć, nie marzyć,
Wasz opór jest na nic!
Teraz czas działać,
I czasy odmieniać
Obalać bezprawie
Wykonać trud.

Tu wszyscy! nie prosić,
Już dość cierpliwości!
Tu wszyscy, do boju!
Niech w marszu krok grzmi
My idziem w dziś
I Państwo to my!

Max Barthel.

I dodatek Angriffu

Pierwszy słowik śpiewa

Gdzieś ukryty w gęstwinie drzewnej, skromny, niewidoczny, siedzi śpiewu król na swoim tronie z liści w pałacu swym szmaragdowym. Śpiewa swoją pieśń o wiośnie. Nieozdobną, lecz cudnego, łaskawego piękna pełną piersią darzy i ubiega się o duszę wszystkich.

Oczy ludzi stają się wielkie i ciche. Teraz dopiero zaczynają widzieć naprawdę. Spostrzegają jak się krzaki bzu skłębiają, jak kasztany są ozdobione płonącemi świeczkami-kwieciem, i czują te wonne fale, które unoszą się z nad białych, kwitnących czereśni.

W jednej chwili opamiętania się i powrotu do siebie samych czują oni swe własne serca i czują Boga.

...A słowik śpiewa...

Walter Flex nie pochodzi od żydów

Wysunięto twierdzenie, że poeta Walter Flex ma w sobie krew żydowską, a wysunięto je dlatego, że imię panieńskie jego matki brzmiało Pollak. Imię to zdarza się często w sferach żydowskich. Można jednak wykazać, że czysto aryjskie rodziny noszą to nazwisko. Rzeczoznawca dla badania zagadnień rasowych gruntownie zbadał genealogję niemieckiego poety Waltera Flexa i wydał mu poświadczenie, które brzmi:

„Zbadałem gruntownie rodowód poety Waltera Flexa, urodz. 16 lipca 1887 w Eisenach, poległego na Oesel w październiku 1917, częściowo aż do pra-pradziadka i dalej, i stwierdzam, że przodkowie jego byli wyznania ewangelickiego i pochodzenia aryjskiego. Poeta Walter Flex jest z pochodzenia Niemcem i nie ma w sobie domieszki krwi żydowskiej".

Dokładną genealogję poety rzeczoznawca dla zagadnień rasowych w związku z tem ogłosi.

II dodatek Angriffu

Niemiecka moda

Dziewięć miljardów zostaje w kraju

W sprawach mody można każdej kobiecie dać dobrą radę. Naucz się patrzeć. Naucz się przedewszystkiem patrzeć na własne odbicie w lustrze. Najpiękniejszy model na nic się nie zda, jeżeli nie odpowiada stylowi danej kobiety.

Nigdy jeszcze moda nie ofiarowała, zdaje się, tylu możliwości, jak w tym sezonie. „Antyk" Biedermeier, Chinois Directoir, wszelkie możliwe style są dozwolone, szerokie i ciasne rękawy, wysokie i głębokie dekolty, długość sukien może być najróżnorodniejsza. Miłe wrażenie robią pstre desenie tkanin, letnie pogodne krepy jedwabne, paski, kłosy, kropki i arabeski. Począwszy od płaszcza kąpielowego i kimona do śniadania a kończywszy przy chusteczce — wszędzie trzepocą te bukiety kwiatów na tkaninach, śliczne jaskrawe punkciki, plisy, wyłogi, kokardy, czarujące kołnierzyki, delikatne hafty na rękawach, na spódnicy i na kołnierzu pięknej pani — przepiękny sen fantazji mody. Podkreśla to w sposób czarowny wdzięki kobiety.

Przyczem należy zaznaczyć, że jest to dzieło mody niemieckiej. Dumne jesteśmy z tego, że owych dziewięć miljardów, które rokrocznie szły zagranicę, dziś u nas zostają. Samo zainteresowanie się koronkami z Plauen przysporzyło tysiącom robotników pracy i chleba. Ramy tegorocznej mody są niesłychanie rozległe. Każda kobieta będzie mogła ubrać się gustownie. Jesteśmy wprost przytłoczeni możliwością wyboru śród tak wielu czarujących drobnostek, które każdej toalecie dopiero prawdziwe oblicze nadają. Ale w dziedzinie tych ważnych drobnostek kobieta musi zastosować dewizę: umiarkowanie i rozpoznanie własnego stylu.

E. Kissling-Valentin.

Feljeton

Kozły ofiarne

W interesach wiedzie mu się źle, wiedzie mu się coraz gorzej, a odwrócone głową do góry środki zaradcze rządu są temu winne. Widzicie państwo: W maju chciał wstąpić do partji. Tak długo zastanawiał się, bo niby jako poważny człowiek interesu nie może on być w swoich decyzjach t·k szybki jak młodzieniaszek.

Tymczasem partja już była zamknięta i do dziś dnia nie można się do niej dostać.

Życie stowarzyszeń ucierpiało w naszych czasach. Każdy wie o tem. Wielu mężczyznom służba w oddziałach szturmowych o wiele większych zaczęła dostarczać przyjemności niż posiedzenia kółek oszczędnościowych. A śpiewać można przecież w oddziałach szturmowych również.

Szereg jego kolegów chętniej bierze udział w akcjach filantropijnych narodowych socjalistów, a jego knajpa, gdzie stale zachodził opustoszała. I mimo kilkakrotnych prób nie został do partji przyjęty. Czy nie wystarczy by człowiek zupełnie zeszedł na psy.

Czy nie rozumiecie tego? — Otóż, proszę posłuchajcie. Sprawa przecież tak prosta. Dla kogo ma on teraz robić nagrobki? Przedtem dla każdego kolegi ze stowarzyszenia, który spoczął w Panu, u niego zamawiano nagrobek. W ten sposób zarabiał przy sześciu stowarzyszeniach na swoje utrzymanie. Dlatego też należał do tylu stowarzyszeń.

A teraz, kiedy grupa miejscowa mogłaby dawne stowarzyszenia w pewnej mierze zastąpić, nie chcą go do partji przyjąć, i szukaj teraz klientów na nagrobki. Czy może mu ktoś mieć za złe, że wobec takich katastrofalnych widoków w dziedzinie gospodarczej, on patrzy w przyszłość przez czarne okulary. Jeżeli to dziś w samych początkach tak się przedstawia, jak to będzie wyglądało z przemysłem nagrobkowym w przyszłości?

I biedak beczy, beczy i nic, tylko beczy.



Minister Goebbels przemawia.

Jesteśmy narodem kolegów!

Jeszcze nie przebrzmiały słowa Zjazdu Niemców Zagranicą, a już przygotowuje się w złotej Moguncji nowe, potężne wydarzenie. NS Hago pragnie pokazać potężnym wymarszem, że handel, przemysł i rzemiosło wiernie trwają przy braciach z Saary. Ta uroczystość, starannie przygotowana, została punktualnie przeprowadzona, co dowodzi, że organizatorzy tego wymarszu, ludzie NS-Hago, wywiązali się ze swego zadania. Kilka cyfr niech to wyjaśni: 50 pociągów specjalnych, każdy po 1000 ludzi, przybyło do Moguncji lub do Wiesbaden. 26.000 aut prywatnych przybyło z wszystkich stron Rzeszy do Moguncji. Ogromne mnóstwo autobusów przewiozło tysiące rodaków do miasta nad Renem i Menem. Tym masom trzeba było zapewnić pomieszczenia. Ponieważ Moguncja i przedmieścia nie wystarczyły, wciągnięto również Wiesbaden. Stworzono nowe miejsca postoju dla samochodów.

Poco przebyli ci członkowie NS-Hago 1,500 kilometrów z nad granicy litewskiej z Prus Wschodnich, albo z nad granicy polskiej z Górnego Śląska do Moguncji?

Dlatego że w Niemczech Adolfa Hitlera, każdy wie, że rozgorzała ostateczna walka o Saarę i że bracia w Saarze mogą na nas polegać. By im to wciąż nanowo okazać, by im dać dowody naszej miłości i wspólnoty losu, zorganizowano ten potężny zjazd wierności niemieckiego handlu, przemysłu i rzemiosła.

Bez trabantów i satelitów w podróżach sportowych

Kierownik sportowy Rzeszy zauważył, że w podróżach jakiejkolwiek drużyny sportowej w kraju lub zagranicę bierze zazwyczaj udział szereg osób, które się tylko przyczepiają bez żadnego powodu i potrzeby, i wydaje następujące rozporządzenie:

„Nie życzę sobie, by, jeżeli jakaś drużyna gdzieś występuje albo tylko jakąś podróż przedsięweźmie, znajdowała się ona stale w towarzystwie kobiet. Żołnierskie występowanie wymaga tego, o ile nie większego jeszcze skupienia ze strony sfer kierowniczych. Wystąpię najostrzej, jeżeli na przyszłość zdarzy mi się stwierdzić, że eskorty naszych aktywnych drużyn w kraju lub też zagranicą wykażą się ilościowo zbyt napęczniałe, albo wezmą w nich udział ludzie nie przezemnie ad hoc wyznaczeni. Musimy sobie uświadomić, że nasi młodociani zawodnicy odtąd na żołnierzy mają być wychowywani, a nie na natury, które są uwielbiane przez damy z najbliższego otoczenia. Narodowi socjaliści są twardzi i nieubłagani; chcemy być takimi również w życiu sportowem, i stanowić reprezentację bez zarzutu".

Niemiec o wdzięku i charakterze polek

Czy Polka jest naprawdę piękniejsza od kobiet innych krajów? Na czem polegają te jej większe wdzięki, które oddawna już stały się przysłowiowe? Przecież mówi się, że „Polki należą do najbardziej czarujących kobiet na świecie"!

Rozglądałem się na wszystkie strony i doszedłem do przekonania, że Polka wcale nie jest ładniejsza od innych kobiet. W żaden sposób nie można stwierdzić, że większy niż w innych krajach odsetek polskich kobiet posiada wyjątkowy wdzięk fizyczny. Przeciętnie nie są one ani wyższego wzrostu, niż kobiety we Francji, w Niemczech, w Anglji; ani nie mają regularniejszych rysów lub bielszych zębów czy piękniej wykrojonych ust.

Może mają one piękniejsze obuwie? Tu dotykamy może istoty prawdy. Co ma z tem wspólnego obuwie? Więcej, niż napozór może się wydawać. Polka uważa na siebie w rozsądny sposób. Co druga kobieta w Polsce ma dobry smak. Nie chodzi tu o korzystniejszy dla kobiety podział budżetu męża, lecz o jasne poznanie swego typu, jego możliwości i jego granic. Polka, czy będzie artystką, czy matką dziesięciorga dzieci, nie będzie nigdy obojętna na to, jakie robi wrażenie. To nie jest okrzyczana skłonność do olśniewania; chodzi o to, że piękna dusza i piękna suknia niekoniecznie muszą się wzajemnie wyłączać.

Dwie cechy charakteryzują Polkę: silnie rozwinięta świadomość własnej godności i duma. Niema w niej nic z uległej i pokornej istoty rodzaju żeńskiego. To, co w niej jest najbardziej ujmujące, wynika z najistotniejszej i najgłębszej treści jej duszy: domaga się ona i zdobywa sobie uszanowanie jako kobieta i jako człowiek.

Ta jej dbałość o wygląd zewnętrzny jest tylko wyrazem wewnętrznego poczucia własnej godności, które nadaje ton jej ustosunkowaniu się do społeczeństwa, a przedewszystkiem do płci odmiennej. Nie można powiedzieć, że mężczyzna w Polsce sam wyznaczył kobiecie to stanowisko, jakie ona zajmuje w życiu rodzinnem i społecznem, stanowisko, znajdujące analogję tylko w pozycji społecznej kobiety w Stanach Zjednoczonych. Kobieta polska zdobyła je sobie sama własną siłą duchową.

Oddawna cechuje Polkę wybitny aktywizm. Pracuje ona w dziedzinie polityki, sztuki, nauki i sportu, a sława jej wykracza poza granice jej ojczyzny. Typem reprezentacyjnym kobiety polskiej nie jest luksusowa wampiryzca, jaką nam filmy przedstawiają. Polka pracuje, świadoma celu i obowiązku, a pracuje dużo. Zachowuje jednak elegancką formę przy pracy. Poświęca się swojej pracy z zapałem, nie przestaje jednak przytem na chwilę być kobietą.

L. Tronier Funder.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

TU KŁUJE „POKRZYWA"

Icyk i Kohn zamierzają otworzyć nową firmę. Powiada Icyk: — A więc złóżmy wszystkie nasze pieniądze...

Na to Kohn zauważył: — A w jakim banku złożysz te inne pieniądze?

Fabryka urody amerykanek

Tajniki przemysłu kosmetycznego

Lakier do paznogci, który stoi na toalecie Sz. Pani, przelany został do tej małej buteleczki z ogromnej kadzi, obracanej żelazną korbą do przepisowej ilości obrotów na minutę i oddanej pieczy mężczyzny w białym płaszczu, bardzo podobnego z wyglądu do lekarza.

Zawartość pudełka pudru jest małą cząstką wielkiej sterty o ostrym zapachu. Wyrób pudru odbywa się na trzech piętrach wielkiego, zupełnie białego gmachu. Ściany są białe, maszyny białe, robotnicy w białych kitlach i czapkach. Puder zaprawia się jak wapno, na najwyższem piętrze, miesza i odstawia na kilka dni do skrzyń z różanego drzewa, poczem po równi pochyłej zsypuje do rezerwuaru, zajmującego całą wysokość dolnego piętra. W nim — białym jak wszystko tutaj — puder zostaje przesiany w bębnie puszczonym w ruch obrotowy. Procesu tego nie można widzieć, ale kiedy koła maszyny zaczynają się obracać, szum jest taki, jak gdyby nisko leciała eskadra samolotów. To puder przechodzi przez sita — płachty jedwabiu, dziesięć razy cieńsze od najcieńszych pończoch. Stąd puder dostaje się do worków, wielkich, jak wory do kartofli i cienkich jak chustbelki, po których każdy kolor pudru oddzielnie zjeżdża na najniższe piętro. Tam, przy kranie, czeka już robotnik, który na dany sygnał nogą puszcza w ruch maszynę; z kranu wycieka puder; z błyskawiczną szybkością nadbiega taśma ruchoma; podjeżdżają małe pudełka, napełnione są pudrem i jadą dalej do sal, gdzie je zakleiają ki. Na podłodze ustawione są znowu spadziste i opatrują etykietą.



Sprzedawczynie na kursie kosmetyki.

Wyrób perfum jest bodaj jeszcze bardziej skomplikowany — ponieważ każdy, napozór zwykły zapach, zawiera często około pięćdziesięciu różnych pierwiastków.

W składach perfum różnych fabryk trudno jest oddychać. W rzędach stoją na półkach esencje, zbierane we wszystkich częściach świata. Jest tu mimoza z Grasse, róże z Bawarji benzoes ze Siamu, piżmo z Afganistanu. Można się natknąć na sok marchwi i selera, dodawany do olejków na przyprawy korzenne. Cena olejku waha się od 40 do 600 dolarów za kilo. Każda z butelek nosi datę: 1929, 1930. Niektóre z esencyj stoją już od 1927 roku.

Istnieją również zapasy mimozy czy jaśminu zakupione w latach, kiedy urodzaj tych kwiatów był wyjątkowo dobry. U Yardley'a czy innych zapasy lawendy, pochodzące z jednego zbioru, świadczyć mogą, że wiosna była wówczas pogodna i ciepła.

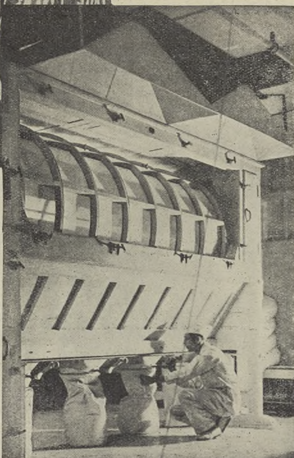
Niema miar dość delikatnych dla mieszania perfum. Ostatnie pociągnięcie, które sprawia, że zapach jest doskonały, zrobione być może jedynie przez artystę o natchnionym nosie. Perfumy działają tylko na zmysł powonienia, ale mogą być w tym samym stopniu dziełem sztuki co obraz Cezanne'a, przemawiający do naszych oczu, czy utwór Chopina, sprawiający rozkosz uszom. Bo przecież dobre perfumy nie są banalnem odtworzeniem zapachu danego kwiatu— są rezultatem pomysłu człowieka i noszą często znamię jego indywidualności. Istnieją eksperci, którzy potrafią rozpoznać każdy zapach Guerlain'a niezależnie od tego, czy powąchają jego mydło toaletowe czy nową mieszankę.

I to jest przyczyna, że tak mało fabryk może poszczycić się więcej niż dwoma czy trzema naprawdę znanemi zapachami. Dwa „udane“ zapachy rocznie na setki rodzajów lansowanych perfum stanowią znaczny odsetek. Rzadko kiedy fabryki mają więcej niż jednego zdolnego „mixera“. Są fabrykanci, którzy mieszają sami. Rzeczoznawca Coty'ego pracuje w Paryżu i w Londynie, a dwa razy na rok przebywa ocean i miesza perfumy w New-Yorku.

15 lat pracy nad jednym kremem

Krem używany do twarzy jest dziełem nauki. Cała armja biegłych przyczyniła się do jego powstania. Specjalista-kosmetyk wymyślił formułkę, dermatologowie zaaprobowali ją, a prób dokonywano na setkach ludzkich świnek doświadczalnych. Zanim ujrzał światło dzienne, krem był zbyt oleisty, za ciężki i za ostry dla delikatnych naskórków. Miał przykry zapach, a pęcherzyków nie można się było w żaden sposób z niego pozbyć. W tem stadjum dodano doń pewien nowy niemiecki preparat, przemieszano pod specjalnem ciśnieniem i znowu przywołano dermatologów. Wreszcie, kiedy z początkowej formułki nie zostało śladu, zaakceptowano krem, nadano mu nazwę i etykietę. Tak powstał.

W laboratorjach Elisabeth Arden jest półka, na której leżą ponumerowane tubki — sto siedemnaście etapów powstania jednego kremu.



Z tego bębna napełnia się pudełeczka pudru.

Doprowadzenie lakieru do paznogci do szybkiego i równego schnięcia zajęło kilka lat i kosztowało firmę około 50.000 dolarów. Chemik, pracujący u Arden, w tym roku przerobił krem, nad którym pracował osiemnaście lat temu, kiedy wstąpił do jej zakładów. Dopiero nowowynaleziony specyfik umożliwił zmianę formułki i ostateczne ulepszenie kremu.

Pogląd, że kremy można fabrykować w domu, jest nonsensem. Jest to zupełnie niemożliwe. Przy dobieraniu części składowych czynne są całe laboratorja, istnieją bowiem setki odmian każdego oleju; wiele z nich nadaje się gatunkowo, ale potrzeby każdego kremu są tak od mienne, że tylko jeden z nich może być zastosowany, w przeciwnym bowiem wypadku krem się nie zmiesza jak należy, skład jego ulegnie zmianie i krem nie będzie trwały. Niektóre olejki poddaje się często dziesięciu próbom. Waży się je, ogląda pod mikroskopem i lampą kwarcową, gotuje.

Przyrządy stanowią drugi ważny czynnik w fabrykacji kremu. Obsługa laboratorjów zna coprawda formułki, ale zna także i chemję i wie, że niema sposobu na odgadnięcie rezultatu pracy. Chemik-kosmetyk nie może odpowiadać za wyniki własnej pracy. Duży wpływ ma także i klimat. Gdyby którąkolwiek z nowo-jorskich fabryk przenieść do Leningradu czy do San Francisco, przystosowanie formułek kremów do klimatu zajęłoby miesiące.

Przodujące fabryki kosmetyków często muszą udzielać porad. W celu jaknajlepszego informowania kupujących, sprzedawczynie przechodzą kurs, na którym uczą się podstawowych wiadomości o pielęgnowaniu skóry. Kurs Elisabeth Arden jest w New-Yorku. Słucha go czterdzieści słuchaczek ze wszystkich stron Ameryki. Kurs trwa tydzień. W tym czasie dziewczęta uczą się, jak poznawać potrzeby skóry i co doradzać dla jej pielęgnowania.

Jak widać sztuka kosmetyczna nie polega na szalbierstwie, ani na czarach. Zadziwiający jest postęp, jaki poczyniły większe laboratorja w ciągu ostatnich piętnastu lat. W jego wyniku toaleta pani stała się jednocześnie piękna i pożyteczna.

„Harper's Bazar“, New-York.

PRACA TWORZY URODĘ!

NORMA SHEARER „KOWALEM“ WŁASNEJ URODY

Idź za przykładem Normy Shearer, zdobywając swojego mężczyznę!

Czy umiesz myśleć samodzielnie? Jeśli tak — potrafisz dokonać tego co Norma Shearer!

Karjera jej to dowód zwycięstwa rozumu nad materją. Rozumu miała dosyć, ale „materja“, jak twierdzili nieuprzejmi producenci, nie nadawała się do filmu. Twierdzili, że ma za małe oczy, zbyt wystającą szczękę, że figura jej była niedość dobra. Teraz, patrząc na nią, trudno w to wszystko uwierzyć, bo rzeczywiście, teraz już tak nie jest. Siłą woli i inteligencją zwalczyła Norma Shearer defekty twarzy i figury i stała się „typem“, jakim jest teraz, ulubioną gwiazdą i ideałem kobiet.

Któż z nas nie podziwiał tego połączenia nonszalancji i wdzięku z błyskotliwą inteligencją, rzadkich wszędzie, a najrzadszych chyba w Hollywood? A właśnie Norma Shearer, której idealna równowaga i wdzięk wabią tłumy do kin, jest rezultatem nieskończonych wysiłków i wielkiej cierpliwości.

Musi się pani zatem przedewszystkiem upewnić, czy stanowi materjał na Normę Shearer i uważnie popatrzeć w lustro w zimnem, ostrem świetle poranka. Czy ma pani rysy drobne a ostre? Prosty nos, lekko skośne brwi i oczy raczej małe i żywe, niż wielkie i marzące? Jeżeli te niezbyt pochlebne uwagi stosują się do pani, trzeba być opanowaną, postarać się uśmiechnąć w podobny sposób jak Norma i przedewszystkiem zająć się włosami.

Norma nosi fryzurę, której od lat prawie że nie zmienia, zarówno w życiu prywatnem, jak na ekranie. Jest dostatecznie mądra, żeby trzymać się własnego stylu i nie robić co kilka tygodni nowych eksperymentów. Nosi włosy zaczesane w miękkich falach do tyłu, odsłaniające czoło i uszy, a z tyłu głowy ma zwijające się nad karkiem w gęste, krótkie loczki. Fryzura tą pięknie modeluje głowę i podkreśla jej kształt.

Tylko przez akcentowanie własnej indywidualności narzuciła się Norma światu, jako



Norma Shearer.

piękność, mimo że właściwie trudno ją podciągnąć pod normalne kanony urody. Jeżeli oczy pani przypominają jej oczy, nie wolno skubać brwi w modne, cienkie łuki, trzeba natomiast nałożyć odrobinę ciemnej pasty na górne powieki i ponad zewnętrzne kąty oczu i ewentualnie troszkę tuszu na górne rzęsy (nigdy na dolne!). I unikać trzeba ciężkich, powłóczystych, uwodzicielskich spojrzeń. Wszystko w pani musi być jasne, czyste i błyszczące, świadczące o doskonałem samopoczuciu.

Norma Shearer wyjątkowo harmonizuje ze stalowemi meblami i niklową zastawą. Tchnie atmosferą współczesności, ale niema w niej nic

(Dokończenie na str. 9)

W ŚWIĄTYNI BOGA WĘŻA

REPORTAŻ

Postanowiłam, że nie wyjadę z Uidah, miasta należącego jednocześnie do Francji, Anglji i Portugalji, najsłynniejszego ogniska kultu wężów na całem wybrzeżu Afryki Zachodniej, zanim nie zawieszę na szyi żywego fetysza.

W tym celu, zaprowadzona przez Dr. Millet, afrykańskiego korespondenta „Muzeum", weszłam dość uroczyście do budynku o kształcie rotundy, o stożkowatym dachu pokrytym palmowemi liśćmi: do świątyni Dangbe, węża-fetysza tej okolicy.

Jakże pobłażliwi muszą być afrykańscy bogowie, jeśli nie ścierają w proch czcicieli, darzących ich tak nędznem mieszkaniem.

Mój przewodnik, dotknięty zawodem, jakiego doznałam, oświadczył mi szeptem (ponieważ szacunek dla Dangbe nie pozwala na podnoszenie głosu):

— Zamówiłem dla Pani arcykapłana!...

W tej samej chwili, pełen pokory i skruchy, wszedł w progi świętego przybytku starzec o wyglądzie pytagorejskim. Ręce jego splatały się w religijnej ekstazie, a z warg spływały litanje. Wolnym krokiem doszedł starzec do środka świątyni i, podniósłszy ręce, starał się zdjąć z poprzecznej belki jakąś wielką masę zwiniętą w spiralę, o szarej, metalicznej skórze: Dangbe!

Zdjęty z posłania ze słomy i z kory bambusowej okrytej skórą pantery, Święty Wąż pozwalał się wielbić, a arcykapłan gładził go po głowie, ostrożnie i z czułością... Potem, wziąwszy go w ramiona, podniósł go do wysokości szyji, którą gad objął, jak obejmuje chmurne niebo sierp księżyca.

Wiedziałam, że pyton jest unieszkodliwiony, to też spytałam mego towarzysza: — Czy prędko już zmierzę ten żywy naszyjnik?

— Ależ zaraz... Nic łatwiejszego.

Kilka słów, wyszeptanych w miejscowym dialekcie... Dwa kroki naprzód... I oto Dangbe, jak góra lodowa, zwalił się na moje ciepłe ramiona i, kurcząc się wokoło szyji, ściskał mnie do utraty tchu. Stchórzyć w tej okazji wydawało mi się równie ryzykownem, jak zatrzymać na sobie gościa tej miary. Pozostawał trzeci sposób: grymas niezadowolenia. Dwaj moi towarzysze uwolnili mnie wreszcie od tego upragnionego przezemnie naszyjnika.

Dangbe ułożono na ziemi, jak cenny ciężar, polano go czystą wodą, namaszczono olejem palmowym, otoczono kawałkami koli, gotowaną fasolą, mięsem koguciem.

Przyrodnik pomacał zwierzę: miało skłonność do hypertrofji wątroby. Nic dziwnego zresztą... Wąż, który je, pije i śpi przez okrągły rok, nie ruszając się wcale i nie zmieniając otoczenia, musi bądź co bądź reagować, jak inne śmiertelne stworzenia, mimo że należy do najpotężniejszych funkcjonarjuszy Panteonu czarnych!

Bóg o krętych kształtach nie tknął żadnej potrawy. Zaledwie raz, czy dwa razy wysunął wąski język, z trudem poruszając głową i szyją, co widząc, arcykapłan począł jeszcze smętniej nucić litanje.

Czekano jeszcze z odstawieniem „cherubina" na posłanie na przybycie fetyszystek, wielkich uczestniczek kadrylów liturgicznych...

— Ma to być jakieś przedstawienie? zapytałam coraz bardziej zaciekawiona.

— Zgadła pani, odparł przyrodnik, ale bynajmniej nie zobaczy Pani zaklinaczek wężów, jakie spotyka się w Marokku, Tunisie czy w Indjach... Byłoby to banalne w kraju, który swe istnienie zawdzięcza ceremonjałom, wierności dla tradycji i poszanowaniu „tabu". Natrafiła Pani właśnie na porę roku, kiedy u ludu Pedah, zamieszkującego dorzecze Mono, z klasztorów fetyszystów wyruszają długie procesje nagich kapłanek, aby tańczyć przed obliczem Węża.

Osiem fetyszystek, brzydkich i pokiereszowanych w straszny sposób, istotnie zbliżało się w kostjumach adamowych do świątyni. Twarze ich, piersi i brzuchy ozdobione były podskórnemi ornamentami, które przypominały pewne motywy architektoniczne i dekoracyjne.

— Oto jest nagość, którą można by nazwać umeblowaną — zauważyłam.

Odbył się zwykły ceremonjał: pokłony, tańce, które wydają się lubieżne nieobznajmionym z naiwnym konformizmem panującym pod tropikami, a których pochodzenie sięga niepamiętnych czasów.

W mieście Uidah, jeśli ktoś zrani lub zabije węża, rozlegają się okrzyki przerażenia. Ludność prześladuje zabójcę, który przejść musi przez ceremonję ekspicjacji czyli Adimę: składa wota, czyni ofiarę całopalenia i puryfikacji, poczem jeszcze może doświadczyć obicia przez bliźnich.

W Nigerji i u Torinusów nie wolno człowiekowi, który rozdeptał węża golić się przez trzy lata. Niewolno mu także obcinać paznogci, ubierać się i zbroić. To też, kiedy z zarośli wychyli się czasem człowiek obrośnięty i niedość dokładnie ubrany, nie trzeba się przerażać! Ten zły duch jest tylko pokutnikiem. Po kilku miesiącach pokuty uda się do arcykapłana i, poprowadzony w procesji do świątyni Dangbe, składając ofiary, wymamrocze słowa poddania. Uczestnicy ceremonji wtedy, wspólnie ogolą penitenta. Nowy Absalon jednocześnie pozbywa się włosów i winy... Nie można być bardziej rzeczowym w symboliźmie!



Dangbe z Wybrzeża Niewolników posiada moc bogacenia i zubażania prostodusznych Afrykańczyków, i jednocześnie patronuje narodzinom niektórych z ich dzieci: wyróżnionym przez niego chłopcom nadaje się imię świętego węża, Dangbe, dziewczynkom imię Wlanwi, co znaczy „centkowane dziecko". (Skóra węża ma rzeczywiście białawe plamki). Wiele zakazów utrudnia życie tych dzieci. I tak, niewolno im kosztować mięsa baraniego czy jagnięcego, ani dotykać krwi tych zwierząt, które są „tabu" od czasu, kiedy wedle legendy, przed wiekami, baranek wyratował na własnym grzbiecie węża z pożaru.

Święta wężów to święta rozesłanych mat. Wierni z pocztem żon starych i młodych i z całą progeniturą, siedząc na rozesłanych na ziemi matach, zwróceni twarzą do świątyni, asystują podczas ofiar z jadła i napoju i podczas triumfalnego obnoszenia gada.

U Torinusów, fetyszystki tańczą dokoła „świętego wzgórza". Muszę tu wspomnieć, że w wiosce Aja-Kpete-Kamne w prowincji Mono istnieje miejsce, nigdy, z wyjątkiem dni wielkich uroczystości, niedostępne dla profanów: Przed nową świątynią, przybytkiem najpotężniejszego z węży, Dangbe-De, którego bliskość przyprawia o utratę wzroku, wznosi się słynne „Wzgórze Ofiar". Jest to mauzoleum, gdzie wierni gromadzą wszystkie gady, które, wedle ich uniżonego określenia „popsuły ziemię" i okrywają je liśćmi liturgicznych krzewów, silnie trujących i znanych jedynie kapłanom i kapłankom, orzekającym o życiu i śmierci swoich bliźnich... Jest to swoiste laboratorjum, skąd czerpie tajemna farmakopea, przechowywana w groźnych klasztorach fetyszystów. Trupy wężów, balsamowane, marynowane, zeschłe pośród trujących esencyj, tworzą pagórek, symbol śmierci, siejący postrach i odwiedzany tylko przez Wielkich Wtajemniczonych.

Podobny obyczaj panuje w Badagry, na terytorjum angielskiem, w pobliżu Lagos, gdzie widziałam u ludu Gunusów „święte wzgórze" ozdobione na szczycie figurą z kutego żelaza, przedstawiającą demona-boa, który zdaje się wyzywać gwiazdy. Poświęcono mu formułkę, przypominającą wyrocznię Delficką: „Wielki dobroczyńco, czcimy cię, ponieważ otworzyłeś oczy człowieka!"

Jane d'Arboy

„Le Journal de la Femme", Paryż.

PRACA TWORZY URODĘ!

(Dokończenie ze str. 8)

pospolitego. Najbardziej w niej uderza to, że zawsze umie być z nonszalancją „modna"; wystarczy zauważyć, jak to podkreśla ubraniem. Obecną swoją sylwetkę osiągnęła jedynie przez staranną djetę i gimnastykę, a umiejętnem dobieraniem toalet ukrywa fakt, że ma o wiele za krótkie nogi!

Nosi suknie z wysokim stanem, wydłużające nogi. Jej suknie wieczorowe z satin są zachwycająco gładkie, obcisłe, uwydatniające kształty.

Jeżeli pani chce wyglądać tak „dobrze" jak ona, nie powinna pani nigdy ale to nigdy, nosić falbanek. Tylko klasyczne linje nadadzą pani właściwego szyku. Najbardziej uroczo będzie pani wyglądała w zgrabnym angielskim kostjumie: wąska spódnica, jasna bluzka, dobrze leżący żakiet. Nie dla pani jest długa, w kwiaty suknia z chiffonu — tę zostaw swej młodszej siostrze, której bóstwem jest Janet Gaynor. **P a n i** musi być wytworna od stóp do głów, jeżeli chce pani wyglądać najlepiej

Niech nigdy pani nie skusi wielki kapelusz o szerokich skrzydłach: mała, nasunięta na bok czapeczka dopełni stroju.

Z chwilą gdy ma się pewność, że się „dobrze wygląda", można odczuwać tę spokojną równowagę, jaka cechuje Normę Shearer na ekranie, a także i w życiu — jeżeli wierzyć opowiadaniom o jej szczęściu domowem. Jej dobry smak i konserwatyzm (niedarmo jest Kanadyjką) zaznaczają się nietylko w aparycji, ale i w życiu prywatnem. Potrafiła się uchronić od chudych, zapadniętych policzków i grubo namalowanych warg, zapomocą których niektóre gwiazdy pragną dowieść, że są niezwykłe i pociągające. A wychodząc bardzo rozsądnie zamąż za Irvinga Thalberga, szefa produkcji swojej wytwórni, zdaje się, że osiągnęła szczęście domowe, dorównujące jej zawodowym sukcesom.

Nie przesadzajcie! Nie starajcie się olśniewać! Jeżeli pragniecie naśladować Normę, ośmielcie się być naturalnemi! Norma Shearer słusznie jest ideałem wielu kobiet pracujących. Ze wszystkich gwiazd najłatwiej wyobrazić sobie ją w roli szefa przedsiębiorstwa, czy na posadzie odpowiedzialnej sekretarki, czy w innym jakimś zawodzie. Bądźcie jednak ostrożne! Bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że przy tym typie urody pewność siebie (i elegancja) zamienią się w sztywność i zarozumiałość.

I nie naśladujcie, broń Boże, pewnych zbyt znanych gestów Normy (jedna ręka na biodrze, podczas gdy druga gładzi włosy, ani jej trochę zarozumiałego śmiechu, bo to są jej niewątpliwe wady. Starajcie się raczej zdobyć dystynkcję i ogładę towarzyską, unikajcie zaś brania zbyt poważnie własnej, niezaprzeczonej zresztą inteligencji.

Są bowiem chwile w życiu najsprytniejszej, najbardziej opanowanej kobiety, kiedy powinna zrozumieć, że najwłaściwiej będzie, jeżeli sprawi wrażenie bezradnej.

„Sunday Express", Londyn.

U Marcelego Bouteron, obrońcy pani Hańskiej

Niewątpliwie, Balzak ma na szerokim świecie wielbicieli równie gorliwych jak Marceli Bouteron, a jednak wszyscy oni przyznają, że dopiero prace biograficzne i bibljograficzne Bouterona umożliwiły im należyte poznanie swego bóstwa. Z właściwą wielkim erudytom skromnością, Bouteron mówi o sobie: „Jestem konsulem balzakistów". Istotnie całą inteligencję i całe życie poświęca studjom nad Balzakiem. Nawet w ostatniej swojej książce: O muzach romantycznych" najwięcej miejsca, także chyba przez wzgląd na Balzaka, poświęca „Cudzoziemce", mimo że z wielkiem wzruszeniem wspomina i o innych muzach romantyków.

Ten szczęśliwy człowiek, z okien mieszkania swego na Quai de Conti, u wylotu Rue de la Seine, widzi Paryż jeszcze takim, jakim go widziały bohaterki jego książki. Wszystko w mieszkaniu przypomina Balzaka. Jest tu szkatułka z malachitu, w której przechowywał listy od Cudzoziemki, jest słynny talizman, Bedouck, któremu Bouteron poświęcił niegdyś zabawną monografję. Tutaj stoi kartoteka zapisków o Balzaku i jego dziełach, tam znowu wielka księga — dziennik, w którym zapisuje się dzień po dniu wszystkie znane szczegóły życia Balzaka.

Cała ta erudycja nabiera życia i bliskości, kiedy wsłuchać się w ciepły, dźwięczny głos mojego interlokutora. Zapala się, wzrusza i żywe jego spojrzenie nabiera blasku pod ciemnemi brwiami, gdy spostrzega że jego balzakowski zapał udziela się i mnie.

Ja jednak łaknę wiadomości o pani Hańskiej

— Książka Pana „O muzach romantycznych" zawiera przekonywającą apologję tej kobiety, w gruncie rzeczy antypatycznej i której wierność dla Balzaka trwała dość krótko.

— Oto sedno rzeczy. Mówią, że zawróciłem sobie głowę panią Hańską. W gruncie rzeczy, zrazu niecierpiałem jej. Ale potem, w miarę postępu poszukiwań i odkryć, stwierdziłem, że zbyt ją surowo sądzono. Mówią, że była kobietą bez serca, ponieważ będąc wdową, zmusiła Balzaka do trwającego dziewięć lat narzeczeństwa. Ale zapomina się o przeszkodach, jakie stwarzało prawodawstwo rosyjskie. Radzę tym wszystkim, którzy ją potępiają, aby się przedtem poinformowali, jak wyglądać musiało dla samotnej wdowy i to polki, która zamierzała poślubić cudzoziemca, likwidowanie olbrzymiej odziedziczonej własności ziemskiej w Rosji 1841 roku!

— Mówią, że pani Hańska nie kochała Balzaka.

Bouteron wstaje gwałtownie; wzrok mu płonie i drżącą ręką chwyta jakąś teczkę.

— Tu są właśnie jej listy, które miałem szczęście odnaleźć.

Podziwiam przedewszystkiem charakter pisma, elegancki, giętki, uduchowiony, a potem czytam. Listy pochodzą z okresu podróży poślubnej; pisane są do córki hrabiny Mniszek. Mowa o Balzaku:...

— Nie miałam pojęcia jak jest uroczy... Po siedemnastu latach znajomości odkrywam w nim codzień nowe zalety.

— Zwierzenia te przesyła córce, której wolałaby przecież nic nie mówić, gdyby doznała zawodu.

Według Lovenjoul'a małżonkowie po powrocie z podróży poślubnej byli pokłóceni, ale listy pani Hańskiej (cytowane w mojej książce), w których rozdzierającym tonem przywołuje doktora Nacquart do łoża męża, zdają się świadczyć o czemś wręcz przeciwnem. Naprawdę otaczała Balzaka miłością aż do śmierci.

— Wersja Mirbeau, który twierdzi, że podczas, gdy Balzak dogorywał, pani Hańska, darzyła malarza Gigoux daleko posuniętą „gościnnością", oparta jest na pomyłce Victora Hugo. W swoich wspomnieniach Hugo opowiada, że przy umierającym Balzaku nie zastał nikogo. „Pani jest u siebie" — powiedziała mu służąca, z czego wywnioskował, że pani Hańska opuściła Balzaka. Bardziej rozsądne jednak jest przypuszczenie, że pani Hańska, bardzo zmęczona doglądaniem chorego (o czem świadczą jej listy do doktora Nacquart), nie miała dość sił, żeby przyjmować gości, tak znakomitych zwłaszcza jak Hugo. Pragnęła odpoczynku i ciszy.

Sekretarz Gigoux stwierdza ponadto, że pani Hańska poznała malarza już po śmierci Balzaka, podczas odwiedzin w jego pracowni z okazji portretu córki, który wtedy malował. Zresztą wkońcu została jego kochanką; prawdą też jest, że była kochanką pana Champfleury; należy nad tem ubolewać, ale nie wolno przeczyć, że za życia Balzaka dawała mu pani Hańska niekłamane dowody stałej i gorącej miłości.

* * *

Bouteron nie ukrywa słabostek pani Hańskiej, pragnie tylko, żeby osądzać ją na podstawie autentycznych dokumentów. Jego apologja „Cudzoziemki" jest wymowna i uzasadniona, to też zdołała już przekonać wielu najpoważniejszych krytyków. *„Je Suis Partout" Paryż.*

Mark Twain w księgarni

Słynny humorysta amerykański Mark Twain nie grzeszył zbytnią rozrzutnością.

Pewnego dnia wszedł on do księgarni w Nowym Jorku i zapytał sprzedawcę, czy prawdą jest, że członkom pewnego stowarzyszenia, do którego i on należał, udziela się zniżek przy zakupie książek. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, Mark Twain dalej wypytywał księgarza:

— Ja nie jestem byle kto. Jestem Mark Twain. Czyż nie mam prawa do pewnych specjalnych względów?

— Oczywiście, proszę pana.

— Zapomina pan jednak, że jestem pańskim stałym klientem, z tej racji powinien mi pan również przyznać pewną ulgę.

— Ależ ma się rozumieć, panie Twain.

— W takim razie biorę tę książkę, której cena wynosi dwa dolary. Ile mam panu dać za nią?

— Nic a nic, panie Twain, to ja panu jestem jeszcze winien dwanaście centów.

„Le miroir du monde", Paryż.

Wizerunek księcia de Broglie

Nowy „Nieśmiertelny"

W osobie księcia de Broglie zyskała Akademja francuska wielką i szlachetną osobistość świata naukowego. Takie uwieńczenie płodnego i twórczego życia nabiera szczególnego znaczenia, gdy się weźmie pod uwagę, że Maurice de Broglie jest od roku 1924 członkiem Akademji Umiejętności. Obecnie tylko on i Emil Picard mają zaszczyt posiadać oba te tytuły jednocześnie.

Książę de Broglie jest starszym bratem księcia Ludwika de Broglie, który przed kilkoma laty otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Obaj bracia, każdy według swego temperamentu, pracują w dziedzinie „fizyki fal" oraz poświęcają wiele uwagi badaniom atomów...

Urodzony w roku 1875 Maurice de Broglie zdawał się wziąć na siebie zadanie, by zadać kłam przysłowiu, że „przyszli wielcy ludzie uczą się zawsze źle!" Jako pierwszy uczeń kończy studja morskie...

Już w tym okresie zaczyna w nim kiełkować głębsze zainteresowanie dla najnowszych zagadnień naukowych. W roku 1904 zostaje zwolniony ze służby w marynarce i poświęca się całkowicie nauce, badając z zapałem sprawę „fal" niematerjalnych, następnie „ionów", punktów elektryzowanych, odgrywających zasadniczą rolę w tworzeniu się mgły, w wyładowywaniu się ciał naelektryzowanych i kształtowaniu się pioruna...

...W roku 1912 może książę de Broglie dodać do swego arsenału laboratoryjnego promienie X. Od tej chwili dąży on do rozbicia atomu, który był dotychczas uważany za najmniejszą cząstkę materji. Z odkryciem radja stało się wiadome, że w lampach aparatów radjowych następuje rozdwojenie atomów włóknistych, wysyłających snop „elektronów".

Można otrzymać również to wydzielanie „elektronów", wysyłając promienie X na srebrną blaszkę. A księciu de Broglie udało się uwolnione w ten sposób „elektrony" utrwalić na płycie fotograficznej; ta metoda „widm atomicznych" pozostaje wraz ze słynną metodą „obracającego się kryształu", mającą na celu badanie spektograficzne promieni X, największym sukcesem sławnego uczonego...

...Podczas wojny książę de Broglie oddaje marynarce francuskiej nieocenioną usługę, — wynajduje antenę odbiorczą, działającą pod wodą...

...W swym pałacu przy ulicy Chateaubrianda w Paryżu książę de Broglie stworzył sobie wspaniałe laboratorjum, które oddaje również do dyspozycji innych uczonych, prowadzących badanie w dziedzinie fizyki...

...Twierdzi się naogół, że de Broglie przypomina „typy Bourgeta". Rzeczywiście jest to pierwsze wrażenie, jakie się odnosi, patrząc na tego dobrze ułożonego, troszkę zgarbionego dżentelmena o zamyślonem spojrzeniu.

Lecz należy go widzieć wśród swych współpracowników, gdy kieruje ich pracami z doświadczeniem, uprzejmością i prawie z braterskim wyrozumieniem...

...Nie zdradzimy żadnej tajemnicy, gdy wspomnimy tutaj o przywiązaniu, jakie żywią najbliżsi współpracownicy do swego ubóstwianego mistrza, który tworzy z tej małej grupki naukowców coś w rodzaju „akademji antycznej"...

„Gringoire", Paryż.

Życie artystów w Rosji Sowieckiej

Podczas pobytu w Moskwie, będąc stale pod wrażeniem wielu wspaniałych poczynań na korzyść pracowników przemysłowych i rolnych, zainteresowałem się stanowiskiem i położeniem ekonomicznem artystów pod rządami Sowietów. Nagrodą za moje wytrwałe poszukiwania były liczne informacje, dotyczące ciekawych warunków bytowania artystów w Z. S. S. R. i dokładne szczegóły o sprawnie działających Organizacjach Państwowych, umożliwiających współpracę między producentami i konsumentami dzieł sztuki.

Wobec tego, że rewolucja zmiotła z powierzchni życia prywatnego kolektora i amatora dzieł sztuki, rząd Z. S. S. R. stanął również przed zadaniem przekształcenia podstaw gospodarczych życia zbiorowości artystycznej stosownie do potrzeb i możliwości.

Zdając sobie mądrze sprawę z tego, że historja rewolucji i następującego po niej odrodzenia narodu bywa na przyszłość przekazywane przez sztukę, rząd sowiecki nie szczędził czasu ani środków na stworzenie organizacyj, których zadaniem jest pokierowanie temi wszystkiemi przejawami życia artysty, które nie dotyczą bezpośrednio jego twórczości.

M. in. powstała organizacja, którą nazwiemy Kooperatywą Artystów, albo w skrócie K. A. Wszyscy artyści zawodowi muszą należeć do tej spółdzielni, a spośród nich wybiera się komitet, którego zadaniem jest podział zamówień oraz dysponowanie dziełami członków.

W wielkich pracowniach artyści są zatrudnieni przez państwo i pracują jak zwyczajni urzędnicy przez sześć godzin dziennie, otrzymując regularne wynagrodzenie. Artystów o wybitnych zdolnościach angażuje się kontraktowo na miesiące, przyczem pensje są proporcjonalne do zasług indywidualnych i wartości dzieł jakich po nich się można spodziewać.

Scena z opery „Kniaź Igor".

Dzieła w ten sposób stworzone stają się własnością kooperatywy, która może je wystawiać i sprzedawać wedle własnego upodobania; jeżeli jednak dzieło ma być przeznaczone do reprodukcji masowej — n. p. w formie pocztówek — zawiera się z artystą nowy kontrakt, zapewniając mu większe dochody.

Spółdzielnia artystyczna

K. A. wyrabia wszelkie materjały potrzebne do pracy artystycznej i dostarcza ich swoim członkom po cenach umiarkowanych, jeżeli artysta znajdzie się w takiem położeniu, że nie może wykonać swojej pracy spowodu choroby lub braku funduszów, kooperatywa udziela mu pożyczki, którą może spłacić albo w gotówce, albo w postaci dzieł wykonanych bezpłatnie.

Ciekawą inowacją w życiu artystycznem Rosji są podróże naukowe. Takie podróże umożliwia się artystom o wybitnych zdolnościach na przeciąg sześciu do ośmiu tygodni, przyczem artysta dostaje odpowiednią gażę miesięczną i daleko idące zniżki przy zakupie materjałów i przy korzystaniu ze środków lokomocji. Mają oni wolne pole do wyboru tematów dla swoich studjów w nowych zakładach pracy i fabrykach, od doków okrętowych w Leningradzie do plantacyj herbaty w Batumie.

Mimo, że to wszystko robiło na mnie wielkie wrażenie, nie mogłem się jednak oprzeć zdziwieniu i ciekawości, kto właściwie jest konsumentem tej tak wybitnej twórczości? Kto w dzisiejszej Rosji ma czas, zainteresowanie i pieniądze na zakupywanie tych dzieł, które w większej części innych krajów stanowią przedmioty zbytku?

Okazuje się, że istnieje Centralna Komisja Zakupów, współpracująca z K. A., która nabywa dzieła sztuki i rozdziela je między muzea, sanatorja, domy wypoczynkowe, kluby robotnicze i inne instytucje. Mam pod ręką statystyki wykazujące do jakich niespodziewanych wysokości dochodzą tego rodzaju zakupy państwowe, obliczane tylko w ostatnich dwu latach na kilka miljonów rubli.

Różne muzea organizują co pewien czas własne wystawy sztuki współczesnej, przyczem niektóre dzieła zamawia się specjalnie w tym celu, podczas gdy twórczość w dziedzinie plakatu, ilustracji książkowej — na zamówienia państwowych zakładów wydawniczych — dekoracji scenicznej dla Moskiewskiego Teatru artystycznego i innych teatrów państwowych daje stałe zatrudnienie całym rzeszom artystów; pozatem odkąd Państwo przejęło wszystkie fabryki i gałęzie przemysłu, zamawia ono u artystów ciągle nowe rysunki dla takich wyrobów jak tkaniny, wyroby garncarskie, meble i zabawki.

W Moskwie istnieje dom zaprojektowany i wybudowany przez artystów. Na każdem piętrze znajdują się lokale mieszkalne i pracownie. W tym gmachu życie jest w znacznej mierze oparte na zasadach kolektywizmu, wszyscy mieszkańcy spożywają posiłki w jednej wielkiej jadalni, istnieje wspólna mechaniczna pralnia, co razem wzięte w znacznej mierze ułatwia kobietom gospodarowanie. Dzieci tej kolonji mają własne ogrody i jadalnie, własne sale wypoczynkowe i do zabawy, i dzięki temu pracownie mają zapewniony spokój. Oprócz

W intencjach tych, którzy ten gmach planowali, miał on stanowić zawiązek przyszłego miasta artystów, gdzie będą stworzone idealne warunki pracy.

Mając zapewnione dogodne warunki życia i stałe, określone dochody i pracując systematycznie, artyści sowieccy mogą poświęcić wszystkie swoje siły wyłącznie pracy twórczej, nie musząc, jak ich koledzy pod innemi formami rządu, zajmować się sprawami, nic ze sztuką wspólnego nie mającemi.

„The Studio", Londyn.

RAJ PRZEMYTNIKÓW W SERCU EUROPY

Istnieje kraj na ziemi, w którym krowy dają po sto litrów mleka dziennie, w którym za kilkaset złotych nabyć można eleganckie auto, w którym ziarno wschodzi cztery razy do roku a małe, jasnowłose chłopki, paradują w jedwabnych pończochach po 80 groszy para. Istnieje kraj na świecie, zamieszkały przez tylko 30.000 ludzi, ale każdy z jego mieszkańców produkuje dziennie więcej, niż gdzieindziej cała fabryka, istnieje kraj, w którym wieśniacy własnemi samolotami wyjeżdżają na week-endy, a każde dziecko proletarjackie posiada rower.

Kraj ten oznaczony jest na każdej dokładnej mapie, a granica jego odległa jest o niecałą godzinę od Genewy, pięknej siedziby Ligi Narodów. Ta ziemia obiecana leży u stóp Jury i po francuskiej stronie jeziora Genewskiego, a, aby dostać się tam trzeba przedrzeć się przez siedemnaście urzędów celnych. Kraj ten ma nawet nazwę, leży pomiędzy miastami Hermance i Divonne zwie się, ponieważ tak chcieli dostojni panowie z Międzynarodowego Trybunału w Hadze, „Wolną Strefą między Francją i Szwajcarją".

— „Tak Monsieur, — powiada miły francuski celnik o śmiesznych wąsikach i imponujących czerwonych lampasach, — tak, panie, Napoleon i trybunał w Hadze i krowy, dające dziennie po sto litrów mleka, wszystko to ma związek..."

„W celu ułatwienia życia ludziom z podnóża Jury, ludziom, którzy mieli złą ziemię i nieurodzajne pola, stworzył cesarz Napoleon wolną strefę między dzisiejszą Francją a dzisiejszą Szwajcarją. Od tego czasu ziemia ta stała się jabłkiem niezgody. Po wojnie światowej spór rozgorzał nanowo. W r. 1932 przesunęła Francja urzędy celne aż do granicy politycznej. W r. 1924, za rządu Herriota, temat stał się znów aktualny. Nie można było dojść do porozumienia i oba kraje zwróciły się do Trybunału w Hadze, w którym zasiadają panowie nie mający pojęcia ani o Napoleonie, ani o ludziach z Jury. Dlatego też właśnie trybunał musiał sprawę roztrzygać. No i mądrzy Chińczycy i Japończycy, którzy w Hadze siedzą, kilka miesięcy temu wydali wyrok — od pierwszego stycznia pas graniczny między Francją a Szwajcarją nie należy już do nikogo obszar ten, zamieszkały przez 30.000 ludzi, należy wyłącznie do nich i jest wolną strefą..."

KROWY DAJĄ PO 100 LITRÓW MLEKA DZIENNIE

„A co do krów, proszę pana, to sprawa tak wygląda. Szczęśliwi mieszkańcy strefy mają prawo sprowadzać sobie bez cła wszystko ze wszystkich stron świata. Wywozić jednak od siebie mogą to tylko bez cła, co sami wytwarzają, albo co rodzi ziemia. Jak tego prawa przestrzegają przekonaliśmy się tydzień temu. Pewnego dnia obliczyliśmy ile mleka wywieziono, oczywiście bez cła, przez 120 urzędów celnych, które otaczają tę strefę. Cyfrę tę porównaliśmy z liczbą zarejestrowanych krów i okazało się, że w obrębie strefy krowy muszą dawać conajmniej po sto litrów mleka dziennie. O, to błogosławiony kraj! Zresztą sam się Pan przekona".

Strefa jest tworem dość dziwacznym, wsuwa się w sposób nienaturalny między Francję i Szwajcarję, a kiedy chce się przebyć od końca do końca, trzeba nieustannie wjeżdżać z Szwajcarji w strefę, ze strefy do Francji, z Francji do strefy — i tak dalej. Tem się tłumaczy, że, pomiędzy Le Chable i Monniaz, na przestrzeni trzydziestu kilometrów mija się siedemnaście urzędów celnych. Przeciętnie co dwa kilometry staje się przed brunatnym drewnianym domkiem, ze skrzynkami begonij w oknach, z ogródkiem i dwoma celnikami, którzy podlewają begonje, uprawiają kartofle i przytrzymują szmuglerów.

Pierwsza stacja za miasteczkiem Annemasse, na terytorjum francuskiem, nazywa się Gaillard. Miejscowość ma zaledwie kilkuset mieszkańców, ale na głównej ulicy budują teraz hotel, którego dwa piętra już są wykończone. Zbudowano go w 14 dni. Obok świeżo otwarto cukiernię z dancingiem. Nazywa się: „Café du Brésil". Wszystko tu ma cudzoziemskie nazwy. W następnej miejscowości, nad kinem, którego jeszcze niema zawieszają nowy szyld: „Cinema de Tokio". Co zresztą niema nic wspólnego z romantyzmem Dalekiego Wschodu, ale łączy się z daleko bardziej prozaicznym faktem, że na alpejski kraj u podnóża Jury i na piękne doliny nad Lemanem dokonali najazdu japońscy komiwojażerowie.

JAPOŃCZYCY SPRZEDAJĄ

Dziwny jest taki np. widok: przed stodołą w jednem z miasteczek stoją dwaj ludzie. Ciężki, kanciasty chłop szwajcarski i obok mały, zwinny Japończyk w wielkich, rogowych okularach. Gestykulując, mały Japończyk coś tłumaczy, zapewnie opowiada o zaletach niebieskiego auta, które stoi przed szopą. Bo kraj ten zasypywany jest autami pochodzenia japońskiego. W nowych garażach obok szosy — a przy każdej stacji benzynowej buduje się nowy, biały garaż — można dostać za 4000 francuskich franków nową, czteroosobową maszynę japońskiej marki. Za 4000 franków, to jest 15000 złotych. Ostatnio zaczęto importować także i samoloty, i japońska awjonetka kosztuje tu 6000 zł. Najtańsze jednak są rowery. Za 70 franków, t. j. 20 złotych można kupić rower. I w całej strefie niema takiego człowieka, któryby nań sobie nie mógł pozwolić. Całe wsie jeżdżą na japońskich rowerach.

Oczywista, że importerom nie zależy zupełnie na sprzedaży w obrębie strefy. Towary zagraniczne sprowadza się bez cła nie po to, żeby je tu sprzedawać, ale żeby je przemycać do Francji i Szwajcarji.

— Mogę Panu powiedzieć bez przesady, — mówi mi miły, mądry burmistrz granicznego miasteczka Annemasse, — że w obrębie strefy pracują całe bandy gangsterów. Przed kilku dniami nad jeziorem Genewskiem przewróciło się auto ciężarowe. Policja ustaliła, że wieziono w niem 2500 kilo duńskiego masła.

Na moje pytanie, poco szmugiel, skoro ze strefy można wszystko wywozić, wyjaśnia burmistrz: „Tak, przez pewien czas może krowa dawać po sto litrów mleka dziennie, ale wkońcu staje się to przecież podejrzane. Wtedy zaczyna się właśnie szmugiel. W tej chwili wwozi się do strefy niesłychane ilości japońskiego jedwabiu. U nas cło od stu kilo wynosi 118 franków. W obrębie strefy — ani centyma. Z tego wynika, że para cienkich, jedwabnych pończoch kosztuje tam dwa franki, t. j. 80 groszy. Więcej, niż tysiąc kilogramów masła dziennie wywożą zorganizowani gangsterzy z terytorjum strefy zagranicę. Szmugiel odbywa się często drogą wodną, ponieważ trybunał w Hadze orzekł, że jezioro, (to znaczy woda!) należy do strefy, nawet i tam, gdzie ląd jest francuski. Evian les Bains, słynne kąpielisko jest francuskie, ale woda, w której się kąpią należy do wolnej strefy. Niech pan zresztą sam zobaczy..."

Poszedłem tedy, żeby się przyjrzeć tej wodzie. Po drodze, między Annemasse, miastem w którem przy dwóch przystankach tramwajowych stoją dwa urzędy celne, a Hermance, nad jeziorem Genewskiem, można przeżyć dziwne rzeczy. Widzi się szyldy, napisy, reklamy.. We wszystkich miejscowościach spotyka się wielkie tablice: "Beurre danois!" Masło duńskie. Strzałka przy drodze, pomiędzy zielonem polem, a kwitnącemi jabłoniami wskazuje na mały parterowy domek, o zielonych okiennicach, z akacjami w podwórzu. Na domku napis: „Kantor wymiany. Kupno wszystkich cudzoziemskich walut!"

I to przy drodze, w wiejskim domku, o zielonych okiennicach i akacjach w podwórzu.

„Neues Wiener Journal" Wiedeń.

INTERVIEW Z AMERYKAŃSKIM REPORTEREM

— W jaki sposób można zostać reporterem w Ameryce?

— Drogi są dwie. Albo jest się najpierw „Copy Boy'em", to jest wolontarjuszem, który zanosi rękopisy sprawozdań do redaktora i w ten sposób uczy się jak pisać; albo, uczęszcza się do szkoły dziennikarskiej przy którymś z uniwersytetów. Uczą tam pisania krótkich opowiadań, opisów mordów, pożarów i t. p. Jest wreszcie egzamin, po którym chłopcy idą w świat.

— Jaki jest stosunek władz do reportera?

— Najprzychylniejszy. Co zresztą mają robić? Niedawno burmistrz New-Yorku skarżył się pewnej wielkiej nowo-jorskiej gazecie, na złe streszczenie jego mowy. Na następne jego przemówienie posłano stenografa, który od początku do końca notował nietylko każde słowo, ale i każde chrząknięcie, każdą omyłkę i uwagę mówcy. Poczem mowa bez retuszów została tłusto wydrukowana. Zamiast wstępu redakcja wyraziła nadzieję, że teraz pan burmistrz zapewne będzie zadowolony.

— Kiedyś robiłem reportaż telefoniczny. Interesanci uskarżali się, że niejakiego pana Rose zbyt rzadko można zastać w ratuszu. Pewnego dnia dzwoniłem do niego co godzinę od dziewiątej rano do wieczora. — „Pana Rose niema w tej chwili. — Pan Rose właśnie wyszedł z pokoju. — Mister Rose jest na ważnej konferencji. Mister Rose wyszedł przed pół godziną. — Pan Rose teraz dyktuje" — i tak wkółko. Następnego dnia ogłosiłem moje wrażenia, które stanowiły niemałą niespodziankę tak dla panów z ratusza jak i dla publiczności.

— Czy amerykańscy reporterzy dużo czasu spędzają na ulicach?

— Na ulicy są stale. Zjawiają się w redakcjach tylko po to, żeby pisać — piszą wściekle szybko na maszynie, bo sekretarek niema — pozatem ciągle się włóczą, wypytują policjantów — każdy reporter ma „swego" policjanta, który tylko jemu opowiada wielkie nowiny, — czekają w komendzie policji, aż się coś zdarzy. Kiedyś podczas długiego czekania pewien reporter policyjny trochę się upił. Nagle rozlega się dzwon, który w pokoju reporterów oznajmia, że coś się stało; chłopak rzuca się do telefonu i słyszy, że na ulicy X Nr. 206 pali się drapacz nieba. Współprzytomny dopada drugiego telefonu i podaje wiadomość swojej gazecie. Po chwili telefonicznie zapytują z redakcji, czy reporter przypadkiem nie zwarjował. W drapaczu nieba na ulicy X Nr. 206 mieścił się bowiem lokal redakcji. Był to mały, koleżeński figielek.

Pozatem jednak są chłopcy w stosunku do siebie koleżeńscy i usłużni. Kiedy jeden ma coś ważnego do załatwienia, drugi pisze mu sprawozdanie. Przy wielkich wiadomościach przyjaźń, rozumie się, ustaje. Zdarza się wtedy, że reporter przecina druty wszystkich telefonów, z wyjątkiem swojego, żeby wyprzedzić w ten sposób innych.

— Czy w Ameryce robi się jeszcze dużo wywiadów?

— Tak. Wywiady są ciągle jeszcze głównem zajęciem amerykańskiego reportera. Jeżeli zamordują gdzieś kogoś, zrywa się na nogi z tuzin młodzieńców. Pozatem lecą jeszcze fotografowie. Jeden robi wywiad z portjerem, który znalazł trupa, drugi — z lekarzem policyjnym, który stwierdził przyczynę zgonu, trzeci — z sąsiadką, która zemdlała na widok zmarłego, czwarty wypytuje jego żonę Tymczasem fotografowie pstrykają, co tylko mogą: wyprowadzenie zwłok, sceny rodzinne, poważne i pełne decyzji twarze policjantów. Zaraz potem wysyłają reporterzy krótkie, najwyżej dwudziestowierszowe notatki do gazet, które zwykle odrazu wchodzą do numeru.

— Jak pisze reporter?

— Trzeba specjalnie podkreślić, jak dobrze, żywo, jasno i treściwie umie pisać amerykański dziennikarz. Często odrazu przez telefon podaje sprawozdania, a mimo to są one plastyczne, żywe i interesujące. Redaktor działu musi je tylko trochę wygładzić, ale w zasadzie są one już gotowe w momencie telefonowania. Przy tym systemie na początek idzie kilkuwierszowy dokładny opis wypadku. Potem dodaje się wszystkie szczegóły i okoliczności zajścia. Na koniec — liczne wywiady.

— Ile zarabia reporter?

— Początkowo od 30 do 40 dolarów tygodniowo, sczasem dorabiają się lepsi 200, a nawet 300 dolarów. Oczywiście, są i „asy", których dochody sięgają tysięcy. Takim politycznym reporterem o olbrzymich zarobkach jest dawny mistrz świata w boksie, Gene Tunney.

— Czy reporterzy mają czasem poboczne dochody?

— Tak, to się zdarza. Przedewszystkiem mają je ze swojej gazety, która ich czasem używa do akwizycji ogłoszeń. Pozatem coś nie coś daje reportaż przemysłowy. Artykuły o imprezach i działalności kompanji są tak piękne, że zarząd musi się odwdzięczać jakiemś ogłoszeniem. Niekiedy też, na przyjęciach poprawia się humor sprawozdawcy wsunięciem mu do rączki banknotu od 25 dol. wzwyż. Czasami przynosi dochód wymienienie nazwisk obecnych: 5 dolarów od nazwiska, wydrukowanego w gazecie. To oczywiście nie jest regułą, ale zdarza się czasem i nikt tego nie potępia.

— Co interesuje czytelników najwięcej?

— Ciągle jeszcze procesy sądowe. Prokuratorzy i obrońcy, których zazwyczaj reporterzy nazywają po imieniu, muszą udzielać wywiadów aż do wyczerpania, a po skończonym procesie zabierają się dziennikarze i do sędziów.

— Jaki jest stosunek do gości z zagranicy?

— Jeżeli są wybitni, interweiwuje się ich bez przerwy. W tym celu kuter urzędu celnego zawozi reporterów do Long Island, poczem oblegają gościa już na okręcie. Mogą wtedy swobodnie robić wywiady przez czas postoju na stacji i przez trzy kwadranse wjazdu do portu.

— Czem zostaje reporter na starość?

— Reporterzy są zazwyczaj zaasekurowani. Od towarzystw asekuracyjnych otrzymują na starość emeryturę, nierzadko także i od gazety, w której długo pracowali. Często jednak zmieniają zawód i obierają taki, z którym się jako dziennikarze zdążyli bliżej zaznajomić.

„Der Querschnitt", Berlin.

DYRYGENT PTASIEGO CHÓRU

Nazwisko Hervier de Chanteloup jest dzisiaj zupełnie nieznane, przed dwustu laty jednak było ono sławne w całej Europie.

Hervier de Chanteloup pełnił pewne funkcje na dworze Ludwika XIV. Od dzieciństwa kochał namiętnie ptaki. Dom jego był pełen klatek, w których mieściły się setki skrzydlatych mieszkańców. Najwięcej było tam kanarków. Chanteloup był opanowany manją umuzykalnienia swoich ptaków. Wygrywał swoim uczniom na flecie i oboju najrozmaitsze piosenki i osiągnął pewne rezultaty. Wieść głosi, iż doszedł do tego, że jego ptaki intonowały śpiewy i przerywały je na dany przez niego znak. Współcześni tego dziwnego męża opowiadają o cudownej harmonji jego ptasich chórów. Po długoletnich wysiłkach jego ptaki wykonywały, przynajmniej pod względem rytmu i tempa, różne menuety i gawoty. Ten samotnik wyuczył swoje ptaki nietylko muzyki, ale i tańca. Liczne pary ptasie umiały na znak swego mistrza wykonywać najmodniejsze ówczesne tańce.

Ptaki ubóstwiały Chanteloup'a. Znały wszystkie jego upodobania, siadały mu na głowie i na rękach. Wśród ptaków znajdowało się dużo solistów, których Chanteloup szczególnie miłował. Jego ptasie koncerty były sławne w całej Europie. Chanteloup otrzymał tytuł „Mistrza ptaków dworu królewskiego" i urządzał na dworze koncerty, które cieszyły się ogromnem powodzeniem. Ptaki przynoszono na dwór w ozdobnych klatkach. Dobrane towarzystwo dworskie zajmowało miejsca i czekało z największem napięciem na człowieka o wielkiej głowie i nosie podobnym do papuziego dzioba. Chanteloup kłaniał się nisko i podawał na flecie ton, który ptaki natychmiast chórem podchwytywały. Kiedy dyrygent przestawał grać — chór przestawał śpiewać. Ptaki odtwarzały każdy nowy motyw muzyczny.

Po śmierci jego protektorki, księżny Condé, gwiazda Chanteloupa zbladła. Popadł w zapomnienie i musiał się zadowolić więcej, niż skromnem stanowiskiem i utrzymaniem. Na starość zdziwaczał. Był przekonany, że po śmierci dusza jego wstąpi w ptaka, wierzył również, że w jednym z jego kanarków przebywa dusza znakomitego muzyka francuskiego Lully'ego.

Pod koniec życia uważał siebie samego za ptaka, nie chodził, lecz podskakiwał, nie kładł się do łóżka, lecz zasypiał siedząc z głową przechyloną na bok. Rozmawiał ze swojemi ptakami ćwierkaniem...

Po jego śmierci wzniesiono na jego mogile nagrobek jego własnego pomysłu, przedstawiał on flet i krzak konopi, albowiem siemię konopi było najulubieńszym pokarmem jego ulubieńców — ptaków.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

„GRANDE SAISON DE PARIS 16.VI. — 8.VII 1934."

W związku z uroczystościami „Grande Saison de Paris" Koleje Francuskie przyznały 50% zniżki dla osób udających się do Paryża na następujących warunkach:

Turyści, udający się do Paryża w okresie od 15 do 24 czerwca r. b., mogą nabywać specjalne bilety zniżkowe powrotne, opłacając pełną należność za przejazd do Paryża, mają prawo do bezpłatnego przejazdu powrotnego w tej samej klasie, tą samą drogą i do tego samego punktu granicznego, przez który wjechali do Francji.

Powrót może nastąpić najwcześniej 6-go dnia od daty wskazanej na bilecie, nie później jednak niż 10 lipca.

Bilety powyższe są do nabycia w Biurze Kolei Francuskiej — Warszawa, Ossolińskich 4,



— Muszę panu powiedzieć, że pierwszy raz widzę malarza, któryby tak pracował...
— Bo... widzi pani... ja nie jestem malarzem... to mój sąsiad z przeciwka...

„Candide", Paryż.



Moja kochana, miłość taka, jak nasza, jest jedna jedyna...

„Humorist", Londyn

Redakcja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: **Michał Sass.** Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.